Nr. 9. Lwów, dnia 15. września 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Kynegetika.

Napisał Władysław Spausta.

I.

Pies przedhistoryczny — dzieje udomowienia — teorye pochodzenia.

Po cierniach i głogach wlec się musiały w ciągu bardzo długich wieków dzieje niedołężnej i upośledzonej pod względem fizycznym ludzkości w tych zamierzchłych czasach, o których tylko urywkowe wiadomości dochodzą do nas z geologicznych pokładów —

...Gdy w młodości czasu, niezmierne szczodroty
Matka rzeczy na żywe sypała istoty,
Innym moc i oręże rozdała w posagi —
Człowiek z trochą światełka stał w środku nich nagi.

Zdawało się, że postać najprzód zginie nasza,
Lew ją kłem, słoń ogromem, wół rogiem przestrasza,
Słabszy zwierz, który jednak wziął roztropność w udział,
Zjadł wołu, wsiadł na słonia, lwią się skórą odział.

Lecz ileż to czasu upłynęło, zanim ten „słabszy zwierz“, jak go nazywa nasz Trębecki, odczuł swe skrajne stanowisko w łańcuchu stworzenia, zanim podniósł wyniosłe i odważne swe czoło w walce zaczepnej z otoczeniem, zanim zbierając liść po liściu do wianka zwycięstwa i chwały, uwieńczoną skroń schylił pokornie przed majestatem odwiecznej potęgi rozumu i prawdy?

Krocie pokoleń minęło, pędząc życie w trwodze i zapasach nierównej walki z otoczeniem, aż wreszcie „trochę światełka“ dało pohop do wielkiej zdobyczy, do prób przyswojenia pewnych gatunków zwierza. I tu bodaj czy nie najstarszą jest historya przyswojenia i udomowienia psa, gdyż przy pomocy jego łatwiej nastąpić mogło udomowienie innych gatunków zwierząt. Sojusz zawarty z wykradzionymi z jakiejś nory szczeniakami, które wreszcie na wiernych sprzymierzeńców ludzkich dążeń urosły, przetrwał morze czasu, w obec którego pisane dzieje maleńki fragment stanowią i postawił człowieka wnet na innym szczeblu egzystencyi. Teraz dopiero, przy pomocy odważnego i wiernego przyjaciela, otwarły się pierwotnemu łowcy nieznane dotąd drogi, teraz mógł zamarzyć o opanowaniu i podbiciu innych gatunków zwierząt i nie spuszczając się już na zawodną dolę myśliwego, położyć mógł lepsze podstawy bytu i panowania. Jeżeli pies w wielkiej części rozwój swej inteligencyi i swe szlachetne przymioty odwiecznemu obcowaniu z człowiekiem zawdzięcza, to wet za wet odpłacił się ludzkości i wpłynął niemało na złagodnienie pierwotnych obyczajów. (*Müller*, *Geschichte der amerik. Urrelig.* p. 23).

Nie wiemy nic o innych, daleko później dokonanych zdobyczach kulturnych ludzkości — ciemną podobno na zawsze będzie dla nas kwestya udomowienia dobytkowych zwierząt i przyswojenia najzwyklejszych roślin — ale jeszcze ciemniejszą jest zagadka udomowienia psa, tem bardziej, że piętrzą się również trudności około bardzo niejasnego drzewa genealogicznego tego zwierza.

* * *

Inaczej to ongi wyglądało na ziemiach europejskich. A to „ongi“ to bardzo dawno — aż strach pomyśleć, posiłkując się naszą miarą czasu, o tej przeszłości, do której mi się cofnąć wypada idąc za psim śladem. — Już w eocenie formacyi trzeciorzędnej wyłaniają się jakieś nieco do psa zbliżone postacie, a ziemie europejskie stroją gaje wiecznie zielonych drzew i krzewów. Obok pozostałych do dziś dnia olszyn, jaworzyn, brzóz, brzostów, topol, przeplatają się wiecznie zielone dąbrowy, lasy sequoi, palmy sagowe, figi, akacye, drzewa tulipanowe, kamforowce, myrty, cyprysy, wawrzyny. a na łonie tej natury, w klimacie niby tropikalnym, gdzie mnóstwo wód nadaje podniebiu charakter wyspiarski, żyje zwierz wielkości wilka t. z. Arctocyon. Uzębienie tego zwierza wskazuje wszakże, iż mu jeszcze daleko do wilka — to owadożerca wyłączny. Inny klimat, inne otoczenie umożliwiało może takie wyżywianie — w naszych czasach wilk czy pies chyba dla rozrywki muchy łapie.

Ten pośredni typ wnet się zatraca w pokładach geologicznych, i w miocenie środkowej Europy wyłania się charakterystyczny mięsożerca — Amphicyon — pół niedźwiedzia pół psa, o nogach niedźwiedzich a z uzębieniem psa. W późniejszych warstwach pliocenicznych występują już dwa oddzielne gatunki — rozszczepał się typ wspólny — pojawiają się już niedźwiedzie psy i hyeny.

W czasach długiej, zmiennemi kolejami zdarzeń kosmicznych przeplatanej epoki dyluwialnej żył na ziemiach europejskich jakiś pośredni pomiędzy wilkiem i lisem gatunek kanidów (badania Richtera p. *Ranke der Mensch* II. 378) i przetrwać miał szczęśliwie dreszcze naszego globu. które następowały kilkakroć w ciągu epoki dyluwialnej. Po ciepłym klimacie trzeciorzędnych formacyj, wytrzymać umiał zamachy natury, pod których strasznym ciosem zaginęło mnóstwo gatunków na zawsze, a ziemie środkowo-europejskie, wyjrzawszy jak zielona wyspa z fal polodowcowych topieli, posiadały już z małemi odmianami faunę, która ją podziśdzień znamionuje.

Po upadku dogmatów Cuviera, zakreślających plemieniu ludzkiemu bardzo ciasną egzystencyę w życiu naszego planety, bo negujących istnienie człowieka geologicznego — gdy nieubłaganą prawdą stała się współczesność plemienia ludzkiego z zaginionymi kolosami dyluwialnymi — zrodziła się sama przez się myśl odkrycia epoki udomowienia psa, przy którego pomocy, jak to sądzili niektórzy, mógł człowiek dopiero zapanować nad wrogiem otoczeniem i wytępić olbrzymów ówczesnej fauny.

Tymczasem wszelkie badania dotychczasowe nie wykazały ani śladu udomowienia psa w tej epoce, w której człowiek zaczyna występować w pokładach geologicznych. Niezawodnie, że ludzkość pierwotna, wiedziona instynktem zachowawczym, tylko w zespoleniu sił borykała się z wrogą naturą i przetrwała najstraszniejsze zamachy kosmiczne, pojawiwszy się wśród epok międzylodowcowych na ziemiach europejskich.

Wśród kilkakrotnych gwałtownych zmian klimatu zmienił się charakter europejskiej fauny — pewne niedostatecznie jeszcze rozpoznane przyczyny kosmiczne powodowały wędrówki zwierząt. Wśród krócej lub dłużej trwających popasów, topiły się w grzązkich moczarach kolosy dawnych epok, ginęły z głodu olbrzymy roślinożercze. Tymczasem zmieniała się roślinna szata, aż wreszcie ustały gorączkowe paroksyzmy ziemi i wylazł do nowych czynów ze swej nory „trochą światełka“ zbrojny przyszły pan ziemi

W całej tej epoce, jak to już wspomiałem, żyły rozmaite odmiany psów — ale jak to dowodzą wykopaliska już w epoce ogładzonych narzędzi krzemiennych, psy te były zwierzyną pierwotnego łowcy, zdobyczą, której smacznym kąskiem cieszyła się cała rodzina. Obdzierano łakomie mięso z kości psa kamiennym nożem, którego ślady na kościach pozostały do naszych czasów. Czy był to tak zwany „pies torfowy“ czy lis, czy wilk, pozostawiam innym do rozstrzygnięcia; tutaj tylko nadmienię, że zagadkowe pochodzenie psa domowego mimowolnie kazało przypuszczać istnienie kiedyś jakiegoś dzikiego protoplasty rodu, tem bardziej, jeżeli się buduje na wierze w stałość typów gatunkowych Że zaś rozmaite gatunki kanidów służyły za pożywienie pierwotnym ludziom, to wcale nie powinno zadziwiać — ten sam gust objawia wiele dzikich plemion jeszcze i dziś, a już wcale nie dzicy mieszkańcy państwa niebieskiego trudnią się tuczeniem psów, które jako wybredny przysmak zdobią następnie stoły mandarynów. *(J. Lubbok, Praehist. Times I. p. 226—227).*

Nazbyt szczupłym był niezawodnie arsenał łowiecki człowieka pierwotnego, ale wśród ciągłej walki z otaczającym go światem zwierzęcym, gdy mnóstwo zwierząt drapieżnych. dybiąc tylko za krwią, pozostawiało nietknięte zresztą ciała swych ofiar — nadawała się dobra sposobność do pożywienia się i przy tym stole. Niełądnie to może posądzać naszego praszczura o coś podobnego, ale tak być musiało prawdopodobnie. Jednym z najpierwotniejszych zresztą sposobów pozyskania zdobyczy, były niezawodnie doły, które i dziś należą do zwykłej praktyki narodów dzikich. Zwierz, choćby jaki, ubezwładniony w dole, ulegał wreszcie natarczywości całych plemion; co żyło, to ciskało tam kamienie, grudy, kłody, aż wreszcie ofiara takich łowów zamęczoną i żywcem pogrzebaną została. A więc i przed udomowieniem psa był człowiek i mógł być łowcem, a dzieła dla nas dziś trudne do zrozumienia, jakich dokonać musiał w walce z naturą, są dziełami sił zbiorowych.

Podniosłem tę okoliczność, bo w ostatnich latach, nawet w literaturze fachowej, dziwne w tym względzie pojawiają się zdania. Oto człowiek dopiero po udomowieniu psa miał się stać myśliwym; twierdzi to np. autor oficyalnego katalogu wystawy łowieckiej w Kassel w 1887 (p. 109), zatem w książce, od której przecież jakiej takiej znajomości fachowej wymagać można. Obecnie nie potrzebujemy się już gubić w domysłach. Szczupłe wiadomości nasze o życiu troglodytów geologicznych, niemniej sposób życia narodów dzikich, u których pies dopiero przez odkrywców tych krajów wprowadzony został, nie dopuszczają wątpliwości co do sposobu wyżywienia człowieka w tych odległych epokach. Niezawodnie, że oprócz zdobyczy łowieckiej, również i inne w otaczającej naturze nadarzające się użytki potrafił wyszukać nasz protoplasta — znachodził tam owoce, głąbie pewnych roślin, może użytkował miazgę drzew, jak to podziśdzień czynią jeszcze Lapończycy, wybierał miód, jaja gniazd ptasich, zjadał pewne owady — ale to wszystko nie wystarczało, łowił tedy co mógł i jak mógł — zwierzęta czworo-

nożne, ptaki, ryby, a nie zdradzając wiele poczucia do porządku i czystości, nagromadził z czasem całe pokłady resztek zwierząt, któremi się żywił.

Wyraźne ślady psa udomowionego występują dopiero w okresie neolitycznym osad nawodnych — rzadziej w pokładach starszych, a coraz to częściej w młodszych, jednak niema i tu pewnych dowodów, że pies ten również do łowów był używany. Prawdopodobnie był to pomocnik w łowiectwie, a później stróż trzód, bo trudno znów przypuścić, aby ta wielka zdobycz, jaką człowiek dokonał udomowieniem psa, nie została wyzyskaną w kierunku, przez przyrodę zwierzęcia podyktowanym, i niezawodnie pierwsze łowy, jakie człowiek z psem wykonał, były to łowy na zwierzęta dające się przyswoić i udomowić.

W starszych warstwach osad nawodnych niemniej w tak zwanych resztkach kuchennych Danii występuje rasa psów wielkości gończych lub wyżłów. *(Rütimeyer Fauna der Pfahlbauten 1861 p. 117. 162).* Rasa ta bardzo długo utrzymywała się na ziemi szwajcarskiej. podczas gdy w późniejszych czasach pojawia się na północy wielki zawód psów, zbliżony do dzisiejszej rasy duńskiej *(Charl. Darvin Variiren der Thiere u. Pflanzen 1878 III. p. 19).*

Dotychczas odróżniono w ogóle na ziemiach europejskich cztery rasy udomowionego, przedhistorycznego psa; różnice ich polegają na wielkości i osteologicznej budowie a szczególnie budowie czaszki. *(Verhandlungen der B. Gesellschaft für Antrop. Ethnol. u. Urgeschichte 1885 p. 551).* Rasy te, powstałe niezawodnie w rozmaitych strefach klimatycznych i wśród rozmaitych warunków udomowienia, rozpowszechniły się wraz z emigrującemi plemionami ludzi po całym lądzie europejskim.

* * *

Wielka rola psa domowego, jaką odegrał w kulturnym postępie ludzkości, zjednała mu u wszystkich narodów uczucia wdzięczności i do przesadnej wyżyny wyniosła ocenę tego zwierzęcia. Już w zaraniu dziejów narodów wschodnich, które nawiasem mówiąc posiadały rozmaite rasy i zawody psów, podobnych mniej lub więcej do ras dzisiejszych *(Charl. Darvin Variiren der Thiere u. Pflanzen III. p. 18)*— spotykamy istne hymny uwielbienia dla psa. W jednym z najstarszych pomników pisanych ludzkości, w księdze Wendridad VI. części Zendawesty, w tem piśmie świętem Parsów, zawierającem echa prastarego kultu dawnych mieszkańców Iranu — echa czasów, o których zresztą nic nie wiemy — znajdujemy następującą sentencyę: „Przy pomocy rozumu psa istnieje świat.“ Jestto niezawodnie przesadny hołd, odnoszący się do pośrednictwa tego zwierzęcia domowego w przejściu ludzkości ze stanu łowiecko-rybackiego do pasterstwa i uprawy ziemi.

W najstarszych wyobrażeniach mytologicznych, opierających się czyto na czci sił przyrody, czy na kulcie zmarłych przodków kręci się i pies, mając sobie powierzone rozmaite misye. To przeprowadza cienie umarłych na elizejskie pola, to strzeże mumii egipskich — z głową psa czy szakala figuruje bożek egipski Anubis na prastarych pomnikach tego kraju — to znów u starych Armenów pies niby dobry geniusz lizaniem przywołuje umarłych do życia i t. d. A nie jest to jedna jakaś niezmienna postać psa; istnieje on tam jako prastary zwierz domowy w rozmaitych odmianach. W szóstem tysiącleciu przed erą chrześcijańską występują już wizerunki chartów, Cheops poluje z rasą psów zbliżonych do psów szkockich, używanych podziśdzień do łowów jelenich, na pomnikach Assyryi i Babilonu odnaleziono wyobrażenia wielkich psów niby dogów i t. d.

W dalekich przeto mrokach przeszłości gubi się udomowienie psa, skoro początkowe dzieje ludzkości zastają go już jako zwierzę rozrodzone w mnóstwie ras kulturnych, tak, że specyalni badacze małe tylko mogą odkryć różnice w rasach zarania dziejowego, w porównaniu do rozmaitych ras i zawodów naszych czasów. Jeżeli ciemną na zawsza pozostanie historya początków udomowienia psa, to niemniej i pochodzenie jego pozostanie dla nas kwestyą akademickiej dysputy. Wątpię, czy kiedykolwiek uda się rozwiązać tę zagadkę, do której klucze zaginęły w falach wieków. Rokrocznie pomnaża się tu niby materyał faktów, otoczony nimbusem niepewnych okoliczności, lecz wśród tego znów myśl logiczna i analogiczne porównania do bardzo błędnych prowadzą wniosków.

Pominąwszy już bardzo niepewnej wartości materyał geologicznego psa — pojawienie się psa w rozmaitych rasach na tle dziejowem, niemały sprawia kłopot na drodze badań jego pochodzenia. Jedynie mając zwróconą uwagę na faktycznie prastarą historyę udomowienia tego zwierza, na niezaprzeczony wpływ chodowli, na zmiany jakim uległy warunki przyrodnicze i etniczne naszego globu, na emigracye plemion ludzkich, którym i pies towarzyszył — możemy wyrobić sobie jakieś do prawdy zbliżone zdanie co do jego pochodzenia. Zwierz dziki, wolny, mimo zmian otoczenia, długo może zachować stałość typu gatunkowego — podczas gdy zwierz udomowiony, przywiązany do posad człowieka, to znów odbywający z nim razem dalekie wędrówki w inne kraje i inne stosunki przyrodnicze — znosić musi, obok wpływów udomowienia także raptowne zmiany przyrodnicze i tem prędzej ulegnie sam charakterystycznym zmianom pod działaniem tak potężnych czynników. A jakimże to strasznym zmianom podległy kraje te i narody w czasach, w których pies należał już wszędzie do zwierząt domowych!

Wszystko to, obok zdań i teoryj rozmaitych badaczy, z których przytaczam tu o ile możności teorye przeciwne lub daleko od siebie stojące, zdoła rzucić choćby słabe światło na ciemną historyę pochodzenia najstarszego zwierzęcia domowego. Jedni widzą w psie potomka jakiegoś odrębnego i w epokach geologicznych zaginionego gatunku kanidów *(Blainvilles)* i utrzymują, że każda z naszych główniejszych ras posiadała kiedyś jakiegoś dzikiego protoplastę, a na poparcie tego śmiałego, bo zresztą na żadnych uchwytnych faktach paleontologii nie opartego zdania, przytaczają podobieństwo obecnie istniejących ras psów do istniejących w tymże kraju gatunków dzikich kanidów. Nazbyt częste i powszechnie znane mieszanie się psów domowych z wilkiem, szakalem a nawet z lisem (?) i wydawanie płodnych potomków, każe znów szukać innym pochodzenia psa w oswojeniu i zmieszaniu wilków i szakali, *(Pallas)* przyczem niewykluczonym jest i jakiś współudział lisa, od którego mieszańce mają być powszechnie znane w Rosyi południowej (?). Teoryę tę popierać się zdaje i osteologia, szkielet bowiem psa a mianowicie czaszka zajmuje jakieś pośrednie miejsce wśród rodziny dzikich gatunków psów, a wielki Linneusz, nie mogąc znaleść ważniejszych różnic anatomicznych, podaje tylko noszenie ogona u psów domowych, a mianowicie zwracanie go ku górze i ku lewej stronie ciała, jako charakterystykę psa domowego. Ciężki i pionowo spadający ogon wilka jest istotnie bardzo dobitną cechą gatunku, a w czasach, gdy wilki należały do zwykłego, choć nie bardzo miłego sąsiedztwa sadyb ludzkich, człowiek zaś utrzymywał bardzo do wilka zbliżone kundle, cecha ta była w istocie bardzo pomocną do rozpoznania sobaki sąsiada, paradującej z zakrzywionym na lewo ogonem. Już w da-

wnych wiekach naszego myśliwstwa uważano cechę tę jako znamię wilka. Znali ją nietylko myśliwi ale i psy myśliwskie i stąd w XVI. wieku, w „Myśliwcu“ Tomasza Bielawskiego znajdujemy taki ustęp:

„Owo chart niepospolity,
Ni go dojrzeć po zagonie,
Wilka pozna po ogonie“.

Pies Inkasów amerykańskich, istniejący tam również od niepamiętnych czasów, ma być potomkiem odmiany dzikiego *canis ingae*. Rozsypały się w gruzy państwa potężne, lecz ich pies pozostał — istnieje tam do dziś dnia obok importowanego psa europejskiego a obecnie zdziczałego, nosi osobną nazwę „Runa alleo“ i odznacza się szczególniejszą nienawiścią względem Europejczyków. Mądry ten zwierz, pamiętający dobrodziejstwa, ale bardzo tkliwy na urazy, może w pokolenia swe wszczepił śmiertelną nienawiść ku ciemiężcom barbarzyńskim swych dawnych panów. Gwałty i okrucieństwa nietylko w Ameryce wywołują przekleństwa pokoleń, a gdy tych już nie stanie, to psy jeszcze warczą na cienie Pizarrów.

W pierwszem wydaniu swej popularnej zoologii utrzymywał Brehm, że t. zw. „Dingo“ czyli „Warragul“ *(Canis australasiae)* jest również jedną z odmian psa dzikiego, w trzeciem zaś wydaniu jest Dingo tylko zdziczałym psem, i istną plagą zwierzostanów Australii. Pod względem kształtów i zachowania się Dingo australski bardzo się zbliża do naszych rodzimych Dingów, które spotkać można w niektórych zaułkach, z tą chyba różnicą, że Dingo australski, nie mając żadnego pana, wiedzie żywot samoistny, nasz zaś Dingo, z niewiadomych powodów przywiązany do swego gospodarza, a raczej do obejścia, gdzie niewiele przyjemności znajduje, tylko od czasu do czasu urządza towarzyskie łowy na własną rękę, zachowując się przytem zupełnie na sposób wilka.

Wszystkie na hypotezach oparte kombinacye, chcąc wyjaśnić pochodzenie psa, pozostawiają przecież na zawsze szerokie pale do zaczepek i do powstawią nowych myśli i rzecz cała, jak to przewidzieli już najgenialniejsi twórcy teoryi na tem polu, z ram teoryi nigdy nie wyjdzie. Ze wszystkich zdań, jakie w tej materyi dotąd słyszeć się dały, przemawia mi najbardziej do przekonania głos, zaliczający psa domowego do produktów kulturnych i owoców hodowlanych człowieka, jako wyłonionego z gatunków innych dzikich kanidów rozmaitych stref klimatycznych. Przemawia za tem również tak często dostrzegany powrót psa domowego do kształtów a nawet ubarwienia dotyczących kanidów w razie zdziczenia. Lecz nietylko pies zdziczały powraca do jakiegoś jednostajnego typu. Objaw ten dostrzegać się daje nawet u psów, pozbawionych troskliwszej opieki hodowlanej człowieka i pies w znacznej mierze staje się uderzająco podobnym do dzikich gatunków miejscowych. Przykładem pierwszego jest węgierski pies owczarski, podobny do wilka, okazem drugim dziwne stworzenie, zalegające ulice miast na Wschodzie, zbliżone bardzo do szakala.

Słynnemu Quatrefages'owi zdawało się, że opierając się na powadze Güldenstaedta, Pallasa, Tilesiusza, Ehrenberga i J. Geofroy udowodnił pochodzenie psa domowego od szakala. (Mowa na wystawie psów 1863 *Bulletin de la Societé d'acclimatation)*. Dowód ten miał się stósować w szczególności do półdzikich psów w okolicach Kairu. Jeżeli uczony francuski dowodu w właściwym tego słowa znaczeniu nie złożył, to w każdym razie znakomicie broniona teza, i myśl wielce prawdopodobna, powinna była znaleść większe uznanie, niż to miało miejsce w kołach berlińskich uczonych, którzy, spoglądając już później z ukosu na Francuza za jego fińskie marzenia, odsadzające Prusaków jako szczep uroaltajski (!) od prawa do niemieckiego prymatu, lekceważąco traktowali wszystkie jego teorye.

Bezpośrednio nie przemawia nic za tem, jakoby pies miał być potomkiem jakiegoś osobnego gatunku — ani czas brzemienności, ani charakterystyczny głos psa domowego t. zw. szczekanie, które długo uważane było za cechę gatunkową psa. Brzemienność trwa u wilków, lisów i szakali 61 — 63 dni, a u rozmaitych ras psów domowych, stosownie do wielkości rasy, obraca się także w tym samym czasie. Szczekanie jest wprawdzie charakterystyczną cechą psa domowego, ale nie cechą gatunku, bo głos ten tracą psy zdziczałe coraz bardziej oddalając się od wpływów kulturnych, i wydają wreszcie głosy, zbliżone do wycia wilków lub „skomlenia“ lisów; przeciwnie znów psy nieszczekające, zdziczałe, uczą się szczekać w towarzystwie psów szczekających pod wpływem nowego udomowienia. Podobnie przeto jak psa udomowionego uważać trzeba za produkt kultury, tak samo i głos jego jako właściwość podlegającą zmianom wskutek rozmaitych wpływów, a głównie zmienionemu trybowi życia zwierzęcia, gdy przestał starać się o nie człowiek.

Chwil tak swobodnych, jakie pędzi częstokroć nasz stróż podwórzowy, nie ma wiele w życiu zwierza dzikiego; nie znosi on również tak strasznych nudów i umęczenia jak nasz niewolnik łańcuchowy. To też nie dziw, że skraca sobie czas bezmyślnem szczekaniem, to znów wyciem, i w ogóle wydaje głosy częstokroć bez widocznych powodów, podczas gdy zwierz dziki w własnym interesie cicho się zachowuje, a jeżeli wydaje głos, to chyba głos rozpaczliwy głodu, albo wesoły apel miłośny. Przedewszystkiem wiadomo nam myśliwym, że ton psiego głosu zależnym bywa od efektów pewnych, które go wywołują, cóż więc dziwnego, że w ciągu długich wieków udomowienia, pod wpływem mnożących się wrażeń, wyrobił się i utrwalił pewien głosowy objaw tychże, który znów zanika, gdy zwierzę w stan zdziczenia przechodzi.

Za naszych czasów przeprowadzone próby ułaskawienia i udomowienia wilków, lisów lub szakali, do rozmaitych a często tylko do połowicznych doprowadziły celów. Rozmaitość jest dowodem wybitnej roli, jaką w próbach odgrywa indiwidualizm zwierzęcia — połowiczność wskazuje, że za krótkiem jest trwanie prób przedsięwziętych. Esencyą tych prób jest zawsze to, „że natura wilka ciągnie do lasu“. I rzeczywiście w tych wszystkich doświadczeniach w jednem pokoleniu przedsiębranych zostaje za dużo dzikiego w zwierzęciu, przewaga złych obyczajów, które nie licują z naszem pojęciem o zwierzęciu domowem. Co wieki utrwaliły, to mogą zmienić znów tylko wieki hodowli.

Próbowałem kilka razy udomowienia krzyżówek, hodowałem dziki — ale jakoś mi się to nie udało; jedne z moich pupilów przenosiły się przed czasem na tamten świat, nie mogąc znieść dobrodziejstw kultury, inne znów pogardziły próżniaczym chlebem i nad moją opiekę przeniosły pełną trosk wolność. A jednak to wszystko nie zachwiało we mnie wiary, że kaczka domowa od krzyżówki pochodzi, i że dzik, jeżeli nie głównie, to w pewnej mierze brał udział w powstaniu tego znakomitego zwierzęcia domowego, które nie wiem dlaczego „za pozwoleniem“ świnią się nazywa.

Według dotychczasowych doświadczeń udało się już nieraz wyprowadzić bastardy suki i wilka, podczas gdy do trudnych rzeczy należy wyprodukowanie mieszańców wilczycy po psie. To jednak, co jest trudnem w niewoli, to według zdania rosyjskich badaczy i myśliwych zdarza się nieraz w wolnej naturze, i dość często pojawiają się tego rodzaju bastardy nawet srokatą noszące sukienkę. W r. 1892

w lasach Czerniatyna koło Antonin na Wołyniu znaleziono jakiegoś takiego bastarda, a prasa podała domysł, że jest to wilk czarny t. z. *Canis lykaon*. Czarny ten wilk przypominający mi jakoś mimowolnie „białego murzyna z Paraguaju“, który narobił tyle w swoim czasie hałasu, przerwał monotonię zdarzeń, ale nie na długo, bo wkrótce, niby tusz zimnej wody, ochłodziła rozgrzane umysły korespondencya właściciela kniei, w której rzekomego Lykaona ubito, demaskując go jako bastarda po jakimś brysiu.

Jako ciężki na pozór zarzut przeciw teoryi pochodzenia psa od wilka, słyszałem częstokroć naprowadzoną nienawiść psa do wilka i innych dzikich pobratymców. Zarzut ten nie jest dla mnie ważnym i owszem umacnia we mnie przekonanie, że pies domowy, przeczuwając w swych bliskich konkurenta, jako zwierz odznaczający się sporą dozą zazdrości a dumny na swe stanowisko wobec człowieka, już przezto samo staje się wrogiem wszystkiego, w czem przeczuwa współzawodnictwo. Wszak dosyć jest pogłaskać jakiegokolwiek psa obcego, aby wzbudzić ku niemu nienawiść w psie własnym, który zawsze chce być wyłącznym posiadaczem zaufania i względów swego pana. Zresztą trudno zmierzyć calówką dozę nienawiści psiej dla wilka lub lisa, dlatego trudno w tej mierze coś mówić. Wiemy, że całym fundamentem, na którym spoczywają zdolności psa łowieckiego, jest właśnie jego drapieżna, nienawistna dla każdej zwierzyny natura. Utemperowanie dresurą wrodzonych zdolności psa czyni go dopiero ogromną potęgą w myśliwstwie. Na odwrót znów wszystkie odmiany dzikie nienawidzą swych pobratymców, ugłaskanych przez człowieka. Jest to objaw dość pospolity. Wilk nienawidzi psa, uważając go za służalca, poświęconego i zaprzedanego celom człowieka, celom strasznym dla wilczego pokolenia. Tli w nim zawsze, powiedzmy prawdę, iskierka sprawiedliwej zemsty dla zbiega z pod sztandarów cierpkiej nieraz ale zarazem urokiem wolności owianej egzystencyi.

Nawet w najgorliwszym zwolenniku teoryj transformistycznych budzi się pewien rodzaj powątpiewania co do pochodzenia psa od jednej jakiejś formy pierwotnej, gdy patrzy na dwie daleko od siebie oddalone rasy psów kulturnych. Taki pincz lub piesek bonoński obok doggi — krzywonogi jamniczek obok charta — wszystko to ma pochodzić od wilka czy szakala? Wszak od 5—6 tysięcy lat typy psa niewiele się zmieniły, wszak nawet sam Darwin przyznał, że szkielety zwierząt od końca peryodu lodowcowego, zatem od czasu dokąd nie sięgają dzieje psa domowego, nie zmieniły się w niczem? Wątpliwości te i zarzuty byłyby może słusznymi, gdyby tu chodziło o zwierzę dzikie, niemają jednak najmniejszej podstawy, jeżeli mamy przed sobą zwierzęta prastarego udomowienia.

U zwierząt dzikich, pozostających w jednakowych lub podobnych warunkach, zboczenia, choćby najmniejsze, odbywają się bardzo powoli, a częstokroć odnoszą się do przeszłości, leżącej poza obrębem naukowego sprawdzenia; przeciwnie, olbrzymi wpływ człowieka, przesiedlanie w dalekie, zupełnie odmienne strefy, celowe dążenia hodowli wywołują raptowne zmiany, zachowujące się i potęgujące wśród dalszych przychylnych warunków.

Ogromne różnice w rasach psów są tylko jednym więcej dowodem prastarej kultury tych zwierząt, brak zaś odpowiednich dzisiejszym rasom psich reprezentantów w geologicznej przeszłości, przemawia tylko za wielką doniosłością wpływów udomowienia i utwierdza, podobnie jak nadzwyczajna płodność ras psich w krzyżowaniu, myśl o bardzo prostem pochodzeniu psa domowego bądź od jednego wspólnego typu żyjącego, bądź wymarłego.

Czem dalej sięga poznanie praw przyrodniczych, tem raptowniejsze są też i postępy w hodowli zwierząt; w miarę gdy coraz bardziej zdemaskowaną zostaje tajemnica fizyologicznych przyczyn i skutków, hodowca, pracując z coraz to większym aparatem wiedzy, wytwarza w daleko prędszym tempie zamierzone organizmy. Osobliwie w hodowli psów widać potęgę specyalnej wiedzy, która, operując po wielkiej części na polu zbytków i zachcianek, nietyle praktycznej potrzebie ile grymaśnej służy modzie.

Już w naszych czasach zaginęły pewne rasy psów — ot zaniedbano je, wyszły z mody jak stary kapelusz — a wyłoniły się i wyłaniają coraz to modniejsze rasy tak, iż w samych zakazanych nazwach tych ras już się połapać trudno. Ludzie majętni, goniąc za czemś osobliwszem, po wysokich cenach zakupują sztuczne okazy psich ras, nawet brzydkich byle modnych, a wymęczonych niby cebulka hyacyntu w laboratoryach hodowlanych i w ten sposób podtrzymuje się szczególniej ożywiony ruch handlowy na tem polu.

A ileż to form przechodowych zaginęło w historyi udomowienia psa? Pomyślmy sobie pośrednie formy, które z pewnością kiedyś istnieć musiały wśród nazbyt dziś oddalonych już typów surowych, a pochodzenie psa od jednego typu stanie się zrozumialszem, tem bardziej, gdy ciemną tę kwestyą rozjaśnia nieco historya udomowienia innych zwierząt, a mianowicie niezbitymi dowodami poparta hodowla kur i gołębi. Wiekopomne prace Darwina wykazały, że wszystkie formy, obecnie już dziedziczne, pochodzą od jednego typu, gołębie od gołębia skalnego, kury od *gallus bankiwa*.

Oprócz człowieka i jego wiernego towarzysza psa, niema podobno w chwili obecnej innych stworzeń, któreby zamieszkiwać mogły całą kulę ziemską bez wyjątku. Ta wspólna obu organizmom zdolność aklimatyzacyjna przyczyniła się do zacieśnienia wzajemnego sojuszu, a zarazem stała się wśród odmiennych stosunków otoczenia i wobec innych od psa wymogów, przyrodniczą podstawą wytwarzania się z czasem, coraz to innych przymiotów temperamentu, a wreszcie form i barw psa.

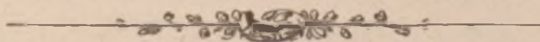
O ile mi się zdaje przyczyną wielkiego obałamucenia co do pochodzenia psa stała się i odrębna jego nazwa. Gdyby towarzysz nasz tej osobnej nazwy nie posiadał, gdybyśmy go zwali n. p. swojskim wilkiem, możebyśmy nie szukali po ciemnicach geologicznych wieków za jakimś psem dzikim, wilk by wystarczył, a zato mniej komplikowaną a może więcej prawdziwą byłaby historya jego pochodzenia. Wszak gdyby nawet istniał kiedyś jaki pośredni typ kanidów, od którego ma nasz pies pochodzić, to prawdopodobieństwo takiego pochodzenia byłoby zupełnie takie same, jakiem jest do dziś jeszcze istniejących gatunków dzikich, a kresowe morfologiczne różnice istniejących odmian i ras psów domowych nie byłyby mniejszemi względnie do tego wymarłego, a bardzo wątpliwego typu psa dzikiego.

Na zakończenie tego szkicu teoryj pochodzenia psa, w którą mimowolnie pozwoliłem sobie wtrącić i zdania subjektywnego na tę kwestyę zapatrywania, wspomnieć muszę jeszcze bodaj pobieżnie o rasie psów Wotjaków i Czeremisów, bo pies ten przedstawia mi się jakoby wyjęty z zapadłej dawno karty dziejów ludzkości i utrzymać się mógł chyba w tych dzikich ustroniach, gdzie od zewnętrznych wpływów strzegą go przepaściste zbocza Uralu, odwieczne bory i nieprzebyte moczary. W ostatnich czasach pies ten zwrócił szczególną uwagę badaczy, a rosyjski przyrodnik p. M. G. Dmitriew,

przebywający tam od lat kilku, poświęca się zbadaniu jego pochodzenia. Za pochodzeniem psów tych od wieków przemawia nietylko zupełna analogia w budowie kostnej, w strukturze oka, uszu, ale zarazem i stosunek długości ogona do ciała, niemniej wilczej barwy sukienka. Głos jest jakiemś pośredniem brzmieniem pomiędzy wyciem, skomleniem a szczekaniem. Osobliwie pies Czeremisów jest według orzeczenia wspomnianego przyrodnika skończonym wilkiem w miniaturze, a uderzającą jest w tej rasie cechą, że psy są pięciopalcowe suki zaś cztero-palcowe. Pod względem łowieckim są obie te rasy w całem tego słowa znaczeniu *fac totum*, i stąd nieoszacowanem zwierzęciem plemion, pozostających jeszcze na takim szczeblu, na jakim już żaden naród w Europie się nie znachodzi. Począwszy od niedźwiedzia uralskiego aż do przepiórki niema zwierzyny, do której łowów psy te nie dałyby się użyć; kilka z nich osadza mysia, dwa wystarcza do pościgu i pojmania wilka, napędzają one na myśliwego łosia i drobną płochą zwierzynę, naszczekują ptactwo rozmaite, w łowach na kniejotki wskazują drzewa, na których ptak usiadł — jednem słowem jest to omnibus: pies gończy, chart i wyżeł w jednej skórze. Obok tych wielkich zalet łowieckich, mają być te psy nadzwyczaj czujnymi i wiernymi stróżami sadyb.

Wszystko to razem wzięte, niedziw, że zwierzętom tym nadaje bardzo wysoką wartość w oczach myśliwskich plemion, i że zdradzają one pewien rodzaj zazdrości dla tych skarbów, jakimi są rzeczywiście psy te dla dzieci dzikiej i odludnej puszczy. Po tysiącleciach, przy schyłku XIX. wieku brzmi z zapadłej puszczy Uralskiej echo prastarej księgi mądrości: „Przy pomocy rozumu psa istnieje świat!“

(C. d. n.)



Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Dokończenie).

D. 11. sierpnia. Dzień dzisiejszy nie przyniósł nam nic nowego. Zwątpiłem, czy dopędzimy już stado słoni. Wprawdzie w „bango“[1]), którędy przechodziliśmy zaraz z rana, odkryto miejsce gdzie nocowały, ale zanim odnaleziono wśród tej gmatwiny właściwą ich drogę — upłynęło sporo czasu.

Były jednak momenta, w których mi się zdawało, że lada chwila słonie ujrzę. Dwa razy nawet wdziewałem był na siebie pas z ładunkami do wielkiego karabina, tak byłem pewny, że one są już gdzieś w bliskości. Ale oczekiwania te kończyły się — jak zwykle — rozczarowaniem. Stawaliśmy, egzaminowali ślady, lub nadsłuchali, czy nie dojdzie nas jaki głos podejrzany. Nie usłyszawszy nic, szliśmy dalej.

Tak minęło południe — przestrzeń między nami się nie zmiejszyła.

Nareszcie znudziła mię ta bezmyślna gonitwa. Wyrzucałem sobie, żem się dał tym słoniom wieść tak daleko, i żem nie szukał za innymi śladami, których widzieliśmy wiele podczas naszego dwudniowego marszu. O ubiciu jakiejkolwiek zwierzyny nie pomyślałem także, a to z obawy spłoszenia stada. Wprawdzie spotykałem tylko nieliczne antylopy mniejszych gatunków, lecz i te byłyby się nam przydały. Żywność nasza ograniczała się na trochę mąki kukurudzianej i soli, a i tych zasobów nie było wiele.

To też przyszedłszy nad strumień „Kondezi“ i przekonawszy się, że słonie dalej poszły — zatrzymałem tu moje „ulendo“. Zastanowiłem się, że zadaleko na zachód się posuwamy. Przeszło dwa dni drogi oddzielało już nas od obozu, a żywność nie wystarczyłaby na dłużej, jak na dzień. Należało koniecznie wracać.

W tym czasie wygłodzona moja gromadka zabrała się do gotowania „nsimy“[2]). Ogień wnet zapłonął — i kociołek znalazł się nad ogniem. Nie upłynęło pół godziny, a objad był gotów. „Nsima“ w kształcie kotła, z którego wyszła, dymiła się na półmisku, ułożonym z liści.

Dla mnie zgotowano herbatę. Kawałek tej „nsimy“, jaki mi na talerzu przyniósł Martinio, nie znalazł łaskawego przyjęcia. Wiedziałem, że jej nie przełknę — więc wolałem nie tykać udając sytego. Zato w głębi duszy zazdrościłem kafrom ich żołądków, w których jak w czeluściach cała ta góra „nsimy“ wkrótce zniknęła.

* * *

Tu nad „Kondezi“ rosną wspaniałe drzewa. Gatunki te są prawdopodobnie właściwe tylko okolicom górskim, bo w dolinach nigdy ich dotychczas nie widziałem. Podobne są do palm, ale należą do osobnej rodziny, której przedstawicielem jest *Phytelephas macrocarpa*, rosnący na Nowej Grenadzie. Owoce ich, chociaż na pozór przypominają szyszki, są orzechami. Ziarno kryje się w powłoce koloru brunatnego, twardej i lśniącej. Jest za młodu przeźroczystobiałe i kleiste, z czasem twardnieje i staje się matowe i elastyczne. Podobnych orzeszków wspomnianego wyżej *Phytelephas macrocarpa* używają na mniejsze wyroby, jak np. guziki i t. p., naśladujące kość słoniową. Produkt ten zwie się w handlu kością słoniową roślinną.

Drzewa te rosną gęsto nad strumieniami, a widok jaki dają przechodniowi, jest nie do pogardzenia. Rzadko kiedy posiadają pnie wysokie, liście zaś, bardzo podobne do liści kokosu, obejmują krótką podstawę i wznoszą się w górę na czterdzieście stóp i wyżej. Całość przedstawia się nader efektownie, a roślina byłaby wspaniałą ozdobą salonów, gdyby nie była za wielką. Kolor jej liścia jest także niezwykły, bo niebieskawo-zielony z srebrzystym odcieniem z pod spodu, co uwidocznia się w jasnych blaskach podczas wiatru.

Po objedzie wzięliśmy się do odwrotu. Kilka szyszek opisanej tu palmy zabrałem ze sobą, aby je pokazać Anglikom w Blantyre. Byłem pewny, że nikt ich tam jeszcze nie wi-

[1]) bango — zarośle trzcinowe.
[2]) nsima — lemieszka.

dział, a mojem zdaniem godne były widzenia. Zresztą należało je zbadać, gdyż mogły mieć tę samą wartość co ich krewniaki z Nowej-Grenady — a w takim razie przysłużyłem się społeczeństwu, dając mu nowy materyał na guziki, pochodzący z środkowej Afryki.

D. 12. sierpnia. Nie będę już nudził opisem dzisiejszego marszu. Nadmienię tylko, żeśmy znowu znaleźli dość świeży ślad słonia, a że biegł w kierunku, którym nam iść wypadało, trzymaliśmy się go aż do wieczora. Dopiero pod zachód słońca — widząc, że ze słoniami nie tak łatwa sprawa, i aby je dopędzić, należałoby tygodniami chodzić za jednym i tym samym śladem — dałem za wygraną. Przy pierwszej wodzie, jakąśmy zoczyli przy naszej drodze, stanęliśmy na nocleg.

Rozłożyliśmy się obozem na spalonej preryi. Tuż obok była przepaść, w której sączył się mały strumyk. „Moasy“ nie urządzano, bo teren nie nadawał się potemu i ludzie byli zanadto pomęczeni, by ich jeszcze tą robotą obarczać. Musieli i tak naznosić paliwa, a w miejscu tem nie łatwo było o taki artykuł, gdy drzew naokół ani na pokaz.

Podczas gdy jedni za paliwem się rozbiegli, a Kaniole z Martiniem krzątali się koło obozu, ja wydrapałem się na pobliską skałę i usiadłszy tam, obserwowałem zachód słońca. Tarcza słoneczna, kryjąc się za chmurą, która niby wyrosła z ziemi — wywołała najcudowniejszą grę barw. Część dolna tej chmurki, dotykając niebioskłonu ściemniała — zrazu purpurowa, wkrótce stała się brunatną, a wreszcie całkiem czarną — natomiast brzegi jej pozostały purpurowe i przejrzyste, jak leciuchne koronki, misternie w ząbki ułożone. I w chwili tej na tle nieba które było niezwykle jasne i zielone, wystrzeliły promienne drogi. sięgające zenitu. Zrobiło się jasno — cały świat nabrał jakiegoś przyjemnego odblasku — wypiękniał. Niebo zaś po przeciwnej stronie — jakby dla kontrastu — było ciemno-szafirowe.

Gdym podziwiał to zjawisko i w jakimś zachwycie zapomniał o otoczeniu, o Afryce i słoniach — krzyk jednego z Mangandżów przywołał mnie do przytomności.

— Niati! Niati!

Bawoły pasły się w sąsiednim parowie. Chłopak co tę nowinę przyniósł naliczył ich do sto głów. Mową i gestami starał mi się przedstawić, że są tłuste, że mięso ich musi być wybornem. Nie potrzebował mnie jednak zachęcać — byłbym i tak za niemi poszedł. Wystarczało, że to były bawoły — myśmy łaknęli mięsa. Szczęścia należało spróbować w każdym razie.

A więc z kilku patronami w kieszeni i ósemką[1]) wybiegłem za murzynem. Wkrótce byłem na miejscu skąd bawoły widzieć mogłem. Dokoła rosły trzciny, a tu i tam świeciły małe bagienka, przeważnie trawą zarosłe. Z obu stron wznosiły się wzgórza, albo nagie, bo wypalone, albo porosłe małymi krzaczkami, które mogły dać pewną osłonę. Z brzegu górki, gdzie się zatrzymałem — objąłem wzrokiem całą sytuacyą. Stado, składające się z 30 głów najwięcej, pasło się po brzegach doliny, właśnie pod wzgórzem, na którem stałem. Między mną a stadem ciągnął się szeroki pas trzcin gęstych, ale nie wysokich. Wiatr wiał od północy — od zwierząt; czułem go na moich policzkach. Wszelkie szanse powodzenia były po mojej stronie.

Podkradłem się też aż do trzcin. Tu sprawa była już trudniejszą. Nie mogąc widzieć, co się przedemną dzieje,

[1]) ósemka — karabin kalibru. 8go.

posuwałem się naprzód bardzo powoli. Najmniejszy szelest mógł obudzić podejrzenie w bawołach, a wtedy zbliżenie się na strzał byłoby niemożliwem. Przekradałem się tedy jak tygrys wśród tych zarośli. Głuche porykiwania dowódcy stada przekonywały mnie, że nic nie podejrzywają.

Doszedłem nareszcie na kraj trzcin. Już tylko cienka przegroda łodyg zasłaniała moją osobę. Widziałem stąd dokładnie zwierzęta, nie byłem bowiem od nich dalej, jak na trzydzieści kilka kroków. Kiedy bawół najbliżej mnie stojący podniósł głowę, zdawało mi się, że mnie widzi. Widocznie jednak tak nie było, gdyż pasł się dalej. Zatrzymałem więc oddech w sobie, aby się nie zdradzić.

Z tego miejsca mogłem już strzelać, należało tylko podnieść karabin i zmierzyć się. Niestety był ciężki, obawiałem się zahaczyć o trzciny. Jeden fałszywy krok, a cały trud spełzłby na niczem. Wziąłem się do tego z wszelką ostrożnością i nareszcie się złożyłem.

Zwierzę, które wziąłem na cel, była krowa, nie bardzo młoda, bo to po rogach było widocznem, ale gładka i tłusta. Ją wybrałem na ofiarę. Mierząc poza łopatkę, wypaliłem...

Tuż za mną zagrzmiał karabin Namondego. Wypatrzył on był już pierwej jakąś sztukę dla siebie, ale czekał na mnie i nie strzelał.

Po huku, którego echo odbiło się wielokrotnie o skały i lasy — pierzchła gromada w największym nieładzie. Zarośla i trzciny, oraz dym, jaki się uniósł z naszych luf, nie pozwolił nam rozeznać na razie, co się stało przed nami. Tylko łomot i szum w trzcinach dowodził, że się oddalają. Wreszcie ucichło, dym osiadł i mogliśmy już postąpić naprzód.

Dwóch chłopaków z karabinami przyłączyło się teraz do nas. Oni wypatrzyli już pierwej zbiegów i pokazywali nam ich palcami. „Uku! Uku!“ [1]) wołał to ten, to ów; a my myśląc, że bawoły są tuż gdzieś w pobliżu, dokoła siebie oczymaśmy wodzili. Dopiero po chwili poznaliśmy naszą omyłkę Bawoły były już po drugiej stronie doliny i na odległość kilkuset kroków. Mrok zapadał i o strzelaniu powtórnem nie było można myśleć. Postanowiliśmy zatem powrócić do obozu, a o rezultacie naszych strzałów przekonać się nazajutrz.

Rozpoczął się odwrót, ale że pochyłość była znaczną a kamienie luźnie leżały po ziemi, szliśmy żółwim krokiem.

Co kilka chwil stawać trzeba było, aby zaczerpnąć powietrza, a stojąc, mimowolnie zwracało się głowę ku dolinie i nadsłuchiwało. Trudno nam było przypuścić, by oba strzały na tak małą odległość chybiły.

Ledwie stanęliśmy na górze, gdy odezwał się jakiś bek. Bek najwyraźniej powtórzył się raz i drugi. Pochodził z doliny.

— Nafa! Niati nafa! [2]) — krzyknęli jak na komendę wszyscy trzej czarni. — Bawół ubity! trafiony bawół nasz! będzie kisawi! — recytowali jeden za drugim. Po głosie wnioskowali, że bawół otrzymał postrzał śmiertelny.

Jak się później przekonałem, bek taki nigdy nie zawodzi; jest to śpiew łabędzi ginącego zwierza. Bek taki jest długi i żałosny, a wydaje go bawół tylko w chwili, gdy padł pod strzałem i już podnieść się nie może. Znamionuje to jego ostatnią chwilę.

[1]) Uku — tam.
[2]) Nafa! niati nafa! — ubity! bawół zginął!

Staliśmy tak jeszcze minut kilka, ale już beku nie słyszeliśmy więcej. Trzeba było się spieszyć, bo noc nadchodziła szybkim krokiem.

Namondi z piosenką na ustach wyskakiwał po drodze i zachęcał innych do śpiewu. I wnet zaintonowali jakiś marsz tryumfalny, w którym słyszałem nieustannie: Muzungu Namondi i Niati. Prawdopodobnie ja, strzelec i bawoły byliśmy bohaterami tej improwizacyi.

Gdyśmy stanęli w obozie, było już całkiem ciemno. Ludzie rozweselili się nowiną o bawole, a wszystko to dlatego, że jutro będą mieli „kisawi". [1])

D. 13. sierpnia. Nad ranem obudziły mnie dalekie grzmoty. Dziwiłem się mocno dlaczego grzmi, gdyż niebo było gwieździste i ani jednej chmurki na widnokręgu. Zaledwie jednak usnąłem po raz wtóry, zagrzmiało znowu i deszcz lunął jak z cebra. Przekonałem się, że nie grzmiało bez przyczyny.

Włożywszy w „fumbę" [2]) siebie i karabiny, oczekiwałem świtu. Nastał on wkrótce. Deszcz ustał, a niebo uśmiechnęło się znów do nas wróżbą pięknej pogody. Ludzie, którzy resztę nocy przepędzili pod skałami wąwozu, suszyli się teraz przy ognisku, rozprawiając wesoło o mającej nastąpić uczcie. Byli przekonani, że bawół został na placu boju.

I nie zawiedli się. Gdyśmy się znaleźli w trzcinach i po stratowanym trakcie postąpili w głąb moczaru, zobaczyliśmy obfite ślady krwi, po których maszerując natrafiliśmy na wczorajszą zdobycz.

Była to krowa przezemnie ubita. Bawół, do którego strzelał Namondi, został również raniony, ale że niewiele farbował, a ślad jego wkrótce się zatarł wśród krzewów i zarośli, pozostawiliśmy go jego losowi. Na razie mięso z jednej sztuki wystarczyło nam zupełnie.

Przy sekcyi sam asystowałem. Chciałem się przekonać, jakie spustoszenie zrobiła kula z ósemki, kula ważąca ćwierć funta ang. Znaleziono ją w dole brzusznym, dokąd się ześliznęła po przebiciu łopatki, żebra i płuc. Ślady gwintu zachowały się na niej doskonale, więc wątpić nie mogłem, że wyszła z mojej lufy. Chodziło mi bardzo o tę pewność, gdyż był to pierwszy bawół, ubity własnoręcznie w moim zawodzie myśliwskim. Można sobie wyobrazić, jak się czułem dumnym po sprawdzeniu tego faktu.

Zaasekurowawszy ozór i polędwicę dla mojego stołu, ogon zaś jako trofeum (rogów bowiem dla znacznego ciężaru zabrać nie mogłem), wróciłem do obozu, zostawiając czarnym dalszą robotę, do której się wzięli z chciwością zgłodniałych hyen. Z daleka jeszcze dochodziły mnie ich namiętne krzyki, śpiewy lub klaskanie w dłonie.

Z bawołu nie pozostało nic prócz szkieletu. Wszystko mięso zniesiono do „moasy". Reszta dnia zeszła na suszeniu mięsa, jutro bowiem wracamy do Injamuli.

Bawolina musi niezwykle smakować moim Kafrom, bo jedzą bez przerwy, śmieją się i dowcipkują. Ja tylko nie mogę jej strawić i pozostaję nadal na herbacianej dyecie. Pozostało mi wprawdzie jeszcze nieco kakao, ale jakoś zwilgotniało i małe mróweczki, zrozumiawszy iż niebardzo dbam o ten artykuł, umieściły się w niem na stałe. Wychudłem też ogromnie w tych dniach ostatnich i mogę śmiało powiedzieć, że na mnie nie ma i uncyi tłuszczu. Skóra, kości i muskuły — oto moja osoba.

[1]) kisawi — przyprawa.

[2]) fumba — mata w kształcie worka.

D. 15. sierpnia. Dzień wczorajszy przeszedł niespostrzeżenie, bez żadnej przygody. Maszerowaliśmy od świtu do wieczora, zanim dobiliśmy się do równin, a stamtąd do Lisungwe. Czarni, którzy pozostali we wsi, usłyszawszy śpiewy moich ludzi, wybiegli nad rzekę, aby powitać swoich i ulżyć im ciężaru, biorąc ich pakunki na swoje głowy. I Antonio z niekłamaną radością przyjmował mnie u wejścia do wsi, obawiał się bowiem o nas, gdyż słyszał, iż „Mawiti" [1]) są na wycieczce zbójeckiej i mogli nas zaczepić — a o nieszczęście nie trudno.

Zmęczony i głodny ledwie miałem czas do rozbicia namiotu, gdy puścił się deszcz gwałtowny i trwał do północy. Hyeny, zwabione mięsem, które nasi przynieśli, kręciły się dokoła noc całą i wyły tak przeraźliwie, że wydawało mi się, iż cała kolonia na ten koncert tu się zebrała. Pomagał im i lew w tej serenadzie, tylko potężny ten władca czuł się za dumnym do mięszania się w tłum służalców; trzymał się w przyzwoitej odległości od mojego legowiska.

Skoro zaświtało, kazałem zbierać manatki. Idziemy z powrotem do Blantyre. Spieszy mi się do domu, bo chciałbym jak najprędzej zebrać nowe „ulendo" i iść nad dolną Szirę. O wypoczynku nie pomyślałem na razie, odkładając to na porę deszczową, kiedy wody i trawy zamkną komunikacyę i nie dozwolą na dalsze polowanie.

Pakunki nasze zmniejszyły się teraz nie do poznania, bo co było jadalnego, zjadło się w ciągu miesiąca, z perkali zaś i paciorków ledwie połowa pozostała, dzięki hojności administratora mego Antonia. Mogliby się z tego cieszyć tragarze, gdyby im nie przyszła ochota objuczyć się mięsem, które pakują do koszów, lub umocowują na wierzch tobołków. Ale trudno im odmówić tej satysfakcyi, zwłaszcza gdy twierdzą sami, iż jadło wcale nie ciąży i nie utrudnia nigdy pochodu. Może i mają racyę.

Drogę ku Szirze mamy równą i wychodzoną, ale że promienie słońca w całej pełni na nią padają, jest rozpalona jak żelazo. Pomimo że wiele drzew rośnie dokoła, cieniu nie ma, bo drzewa są jeszcze nagie; dwa ostatnie deszcze okazały się niedostatecznymi dla spragnionej od dawna roślinności. Skaczą tedy moi murzyni to w bok, to naprzód, stosownie do tego, gdzie ujrzą jaką kępkę niedopalonych traw, na której mogą choć na chwilę ostudzić poparzone podeszwy.

Niebo cudownie pogodne. Ani jedna chmurka nie zasłania ciemnego błękitu. Tysiące świerszczy napełnia powietrze dziwnem jakiemś drganiem, które nas głuszy i pozostawia przez czas dłuższy w uszach szum nieprzyjemny. Ku południowi spieka się zwiększa i staje się niemożliwą. Jakaś ciężkość zawisła w powietrzu i uwidacznia się w fizyognomiach moich tragarzy, którzy mimo pewności, że wkrótce do rzeki się dostaną, są posępni i milczący. Nawet zwierzyna przebiegając nam drogę zdaje się patrzeć na nas okiem znużenia.

Dopiero kiedyśmy się zbliżyli do rzeki, a wietrzyk zawiał — ocuciła się moja gromadka. Rozpoczęły się znowu gadania, dowcipy i śpiewy. I raźniej tak dobiliśmy do celu, stając około czwartej nad brzegiem Sziry.

Miejsce, gdzieśmy się znaleźli, jest tuż obok wodospadu Murchisona, naprzeciw wyspy, na której nam zanocować wypadnie. Huk, jaki tu od spadów się rozlega, jest imponujący. Wilgoć czuć wszędzie; powietrze jest chłodne, orzeźwiające.

[1]) Mawiti — inna nazwa dla Zulusów i Angonich.

Mieszkańcy tutejsi, którzy w chwili naszego przybycia zastawiali po tej stronie więcierze, zabrali nas ze sobą na wyspę w dwóch swoich łodziach. Tam znaleźliśmy gościnne przyjęcie, a „mfumo“ wioski obdarzył nas podarunkiem. Składał on się z ogromnego garnka piwa, dwóch koszów mąki i całego stosu trzciny cukrowej, na którą ludzie moi natychmiast się rzucili. Dobroduszny ten człowieczek chciał tym sposobem zaskarbić sobie łaskę „muzunga“ i dopiął celu. Wyłudził też odemnie mnóstwo rzeczy: pół baryłki prochu, kapsle i kule, oraz wiele innych drobnostek, których już nie wymieniam. Hojność jego opłaciła mu się w dwójnasób.

D. 16. sierpnia. Spałem dziś pod gołem niebem pośród chat i ogrodów. Huk wody, który mi się wydał we dnie potężnym, był w nocy zatrważającym. W ciszy nocnej grzmot następywał po grzmocie, a szum i ryk rozbitych bałwanów mięszał się z nimi. Cała wyspa drżała w swoich posadach; zdawało mi się, że lada chwila usunie się z miejsca i razem polecimy w przepaść wodną.

Nic dziwnego, że wśród tego hałasu i drżenia ziemi, które się także moim nerwom udzielało, długo zasnąć nie mogłem, a gdym w końcu zdrzemnął siłą zmęczenia, budziłem się co chwila. W końcu i oczom się znudziło i nie skleiły się już więcej. Czuwałem zatem, leżąc na pościeli i oczekiwałem świtu. W myśli ważyłem, jakby się dostać na ląd stały, bo przeprawa, na jaką się zanosiło, napawała mnie trwogą. Między wyspą a lewym brzegiem rzeki sterczało mnóstwo skał podwodnych, a że prąd był nader silny, tutejsze zaś łódki prawdziwe łupiny z drzewa, przejazd nie był pozazdroszczenia godny. Łódka, zahaczywszy o skałę, musiała się wywrócić, porwana zaś prądem poza wyspę, polecieć z pasażerami w otchłań wodospadu.

Zrobił się wreszcie dzień. Trzeba było wstawać, bo „ulendo“ moje było już u brzegu i czekało na przewoźników. Ja sam miałem się przewieźć ostatni, chciałem bowiem widzieć wszystkich ludzi moich po drugiej stronie i nie czekać na nich, zostawiwszy ekspedyowanie takie w ręku Antonia. Pilnując tedy, aby który z nich nie pozostał we wsi, chodziłem pomiędzy chaty i po ogrodach, przyczem miałem sposobność podziwiać piękne położenie tej wysepki.

Uroczy to zakątek; wdzięczniejszej miejscowości chyba na kuli ziemskiej znaleźćby trudno. Z jednej strony — kędy droga wiedzie do Blantyre — wznoszą się góry o lekkiej pochyłości z swoimi gajami, dolinami i urwiskami skalnymi, a wszystko razem leży jak w ramach, ogrodzone pasmami lasów, po bokach gór się ciągnących. Z drugiej strony ogromne drzewa otaczają brzegi zielenią rozłożystych koron, a rzucając cień na wodę, malują jej powierzchnię najpiękniejszą barwą szmaragdu. Od południowego cypla wysepki ostre skały wrzynają się w koryto i sterczą nagimi konturami ponad fale, podczas gdy północna jej część jest schowaną w gąszczu bananów, mandioku i innej roślinności.

Środek wyspy tworzy małe wzniesienie. Tu stoją rozrzucone chaty Kafrów dość niedbałej konstrukcyi, a liczba ich nie przekracza dwudziestu. Rosną tu także dwa ogromne baobaby, jedyne okazy pozbawione liścia, tutejsza bowiem flora — dzięki ustawicznej wilgoci tworzącej się z rozbicia wód — zawsze jest w zieleni. Jak mnie mieszkańcy wyspy zapewniali, kukurudza dojrzewa tu trzy razy do roku.

Tutejsze wodospady, które się ciągną na mil kilka i tworzą liczne, mniejsze i większe katarakty, zwą się w języku Mangandżów „matiti“. Słowo to oznacza spadek wody w ogólności, tutaj zaś rozciągnięto tę nazwę nawet na kraj po obu brzegach leżący. Spady te zwiedzane były po raz pierwszy przez Liwingstona w roku 1859. Największą kataraktę ochrzcił on mianem „Murchison falls“, na pamiątkę protektora ówczesnej wyprawy, Sir Murchisona, i jako taka znaną jest w świecie cywilizowanym.

Katarakta ta jest tuż za wyspą. Ogromne bloki granitów zwalone w nieładzie przegradzają koryto i pomiędzy nie wyrywa się Szira kilku strumieniami w gwałtownym pędzie. Z hukiem spada woda na pierwsze stopnie, a rozbiwszy się tu o rozliczne nierówności, spieniona i szumiąca goni po dnie pochyłem do dolnego koryta.

Wieczna mgła o grubych perełkach napełnia powietrze. Służą one za pryzmę promieniom słońca, które padając na nie, łamią się w różnobarwny łuk tuż ponad skałami. Koryto rzeki, będąc już i tak wąskiem, wydaje się jak gdyby ściśnięte gęstą wegetacyą, jaka rośnie po obu brzegach. Wspaniałe drzewa chylą się ponad wodę, a lijany i inne wijące się rośliny zwieszają się w festonach z kwiatów i zieleni. Tu dziki daktyl pierzastym swoim liściem oko wabi. tam porywa wysmukła palma „borassuo“, wystrzeliwszy bujną koroną wysoko nad inne drzewa.

Ponieważ ryb mnóstwo, więc i ptactwo wodne widzisz wszędzie. Siedzi ono po skałach i gałęziach, pluszcze się w wodzie lub trzepocze nad jej zwierciadłem. Górą szybują ogromne rybitwy z śnieżną piersią, dołem ciągną kormorany lub wężogłowy o cienkich szyjkach. Albo małe zimorodki, o upierzeniu szafirowem, z dzióbkiem jak krwawnik, siedząc w szeregu niby rzesza głodnych dziedzi, z chciwością patrzą w głębinę, czy też nie ujrzą tam dla siebie upragnionego żeru.

Hipopotamów tylko nie widać, ale słychać ich głosy z daleka. Znajdują się one powyżej wyspy, gdzie rzeka jest szerszą a pęd słabszy. Żałosnym głosem odzywają się jeden za drugim, jakgdyby chciały pożegnać nasze „ulendo“, które właśnie opuszcza brzeg rzeki, aby wejść na ścieżkę wiodącą w góry.

D. 17. sierpnia. Ostatni to dzień naszej podróży; wieczorem staniemy już w Blantyre.

Na twarzach moich ludzi maluje się nietajone zadowolenie. Przyznać jednak trzeba, że trudy tej wyprawy odbiły się na nich aż nadto widocznie. Ciała wychudły, policzki pozapadały się, a żebra sterczą z pod lśniącej skóry. Ale są zdrowi, bo oczy im się świecą, a że niosę sporo mięsa suszonego, są weseli i krzykliwi. Uśmiecha im się życie, jakie ich czeka przy rodzinie lub żonach, a w mowach ich słyszy się często wyrazy: mamanga, baryjanga, mkazanga, co oznacza: moja matka, mój brat, moja dziewczyna. Stosunki rodzinne zatem nie są im obojętne; dowód, że i oni kochać zdolni.

Wieczór był gdyśmy ujrzeli domki misyjne w Blantyre. Słońce było już zaszło, i tylko czerwona linia na zachodzie oświecała niepewnem światłem szczyty lasów i gór. Gwar powracających z plantacyi kafrów dolatywał z daleka, a w alei wiodącej do wsi powitały nas psy głośnem szczekaniem. Czem bliżej chat, tem większy hałas. Tu gwarzą lub kłócą się przed domami, tam śpiewają i klaszczą w dłonie, ówdzie biją w bębny i tańczą zapamiętale. Słychać też od czasu do czasu wystrzał karabinowy — to odznaka najwyższej uciechy.

Stanąłem wreszcie u wrót mego domostwa. W tej chwili odezwał się dzwonek z kaplicy misyjnej, wzywający na modlitwy wieczorne. Głos ten, którym tyle razy słyszał a nigdy nań szczególniejszej nie zwracał uwagi, wydał mi się teraz nadzwyczaj dźwięcznym i przyjemnym. Mimowolnie

zatrzymałem się, aby mu się przysłuchać. Po tych dniach przeżytych w puszczy, był on dla mnie zwiastunem wypoczynku, pozdrowieniem cywilizacyi. Przypominał mi, że i tu mieszkają ludzie pokrewni mi rasą, ideami i zwyczajami, i że pośród nich będę mógł znowu skosztować przyjemności życia europejskiego...

Tak skończyła się moja pierwsza na słonie wyprawa. Fortuna mi nie sprzyjała; nie ubiłem ani jednej sztuki. Ale nie żałuję ani podjętych trudów, ani czasu i nakładu mego, bo w ciągu tej wycieczki poznałem obyczaje zwierząt oraz sztukę tropienia ich, a to bardzo mi się przydać może w przyszłem polowaniu.

KORESPONDENCYE.

Sierakowce 29. sierpnia 1895.

(Dubleta do jeleni. — Atak rannego jelenia).

Dnia 24. sierpnia b. r. przyjechałem przed południem do Nowegomiasta w Dobromilskiem do mego teścia. Ponieważ stan rogaczy w Nowemmieście jest dosyć liczny, udałem się wieczorem na podjazd do lasu dworskiego, położonego na najwyższej w okolicy górze, t. zw. Radczu. Szczęście nie sprzyjało mi tego wieczora, bo pomimo tego, że widziałem kilka rogaczy, do strzału przyjść nie mogłem. Jednego tylko rogacza z malutkiemi parostkami podszedłem niedaleko, lecz właśnie dla tej małości parostków strzelać do niego nie chciałem. Co do tego rogacza zauważę mimochodem, że znajdywał się w towarzystwie dużej, starej kozy, a zamiary swoje względem towarzyszki objawiał tak wyraźnie, że nie można było mieć o nich żadnej wątpliwości. A było to, jak wspomniałem, 24. sierpnia — i podkreślam tę datę dla tych, którzy do tej chwili oznaczyć się starają porę rui sarn. Koza, nie zachęcając natarczywości swego towarzysza, nie broniła się zbytecznie, i tak ta czuła parka przemknęła się przed memi oczami, niknąc w gąszczach i dodając swem zachowaniem jeszcze jeden zakręt w tym labiryncie, z którego ani myśliwi, ani badacze dotychczas wybrnąć nie mogą.

Zmierzchło się tymczasem już na dobre, gdy w powrotnej mojej drodze do wózka pomknął przedemną na zrębie jeszcze jeden kozioł z bardzo dużymi rogami. Złożyłem się, lecz dla zmroku nie mogłem strzelić. Nie chcąc więc tego pięknego rogacza płoszyć bezpotrzebnie, lub, co gorzej, postrzelić, odjąłem sztuciec od twarzy, rezerwując sobie strzał na pomyślniejszą porę.

Zachęcony widokiem wspaniałych parostków tego rogacza, nie odkładałem na długo nowej wyprawy, lecz zaraz nazajutrz rano, dnia 25. sierpnia b. r. udałem się do kniei. Ciemno jeszcze było prawie, gdy stanąłem u stóp góry, skąd miałem zacząć podchodzić. Na górze tej, zwanej Zameczyskiem, znajduje się kilkudziesięciomorgowy zrąb, którego część dopiero ubiegłej zimy wyrąbano. Na tym właśnie zrębie widziałem wczoraj owego pięknego rogacza, którego i dziś rano spodziewałem sie zastać — i ta część lasu stała się teatrem opowiedzianych poniżej wypadków.

Wzpomniany zrąb leży po przeciwnej stronie Zameczyska, tak, że aby się tam dostać, musiałem przebyć szczyt. Przyszedłszy na górę, doznaje się wrażenia, jak gdyby się stało przed rozwartą książką, gdyż stok południowy Zameczyska składa się z dwóch pagórków, przeciętych głęboką bardzo debrą, która stanowi jakby przedział między dwoma kartami rozchylonej księgi. Nad tą właśnie debrą widziałem wczoraj wspomnianego kozła.

Zegarek nie wskazywał jeszcze czwartej godziny rano, gdy powoli i ostrożnie posuwałem się leśną drożyną, która biegnie równolegle do debry w odległości o jakich 150 kroków od niej. Jako broń miałem dryling z expresową lufą 450, nabity expanzywną kulą i z dwoma lufami nabitemi śrutem Nr. 2. Oprócz nabitych luf miałem wszystkiego w kieszeni jeszcze jeden ładunek expresowy i dwa śrutowe. Szedłem powoli, upatrując kozła. Zmrok ranny nie bardzo sprzyjał poszukiwaniom. Wtem na odległość może stu kroków ujrzałem przed sobą niedaleko drogi po prawej stronie dużą czerwoną sztukę między świeżymi pędami, wyrosłymi na zrębie. Po lewej stronie znajdywał się stok na dół, w dole debra, a za nią drugi stok do góry. W ujrzanej sztuce podejrzywałem mojego wczorajszego rogacza. Rozpoznać nic jednak nie mogłem, gdyż niepewne światło poranku i krzaki utrudniały bliższą obserwacyę. Począłem ostrożnie się podsuwać. Wyjąłem binokle, i gdy sztuka podniosła głowę, rozpoznałem ją z żalem, jako kozę. Stałem więc na miejscu, rozglądając się i zwracając uwagę, czy nie ma gdzie w pobliżu kozła. Już miałem zawrócić, gdy rzuciwszy raz jeszcze okiem na zbliżającą się do mnie kozę, uderzony zostałem jej niezwykłymi rozmiarami i ogromnemi „łyżkami“, które jak dwa skrzydła szeroko rozstawiła. Wyjąłem raz jeszcze binokle, ażeby się przypatrzyć temu olbrzymowi sarniego rodu, a koza tymczasem odwróciła się do mnie tyłem, i wtedy ujrzałem szeroką i po kolana prawie obniżającą się białą „serwetkę“, z króciutkim, wesoło merdającym „kwiatem“ — oznaki niewątpliwe, że mam przed sobą ł a n i ę. Zresztą nie mogłem o tem, mimo mego osłupienia, długo powątpiewać, gdyż w tejże chwili prawie ukazał się w oddaleniu kilkunastu kroków za łanią jeleń ze słabym wieńcem i wyciągniętym przed siebie łbem, węsząc coś uważnie — przyczem słyszałem wyraźnie chrapanie nozdrzy. Stałem chwilkę, jak skamieniały, lecz opanowałem się szybko, schowałem binokle do kieszeni, i mimo niepewnego jeszcze światła, wymierzyłem dokładnie, i z odległości najwyżej 60 kroków posłałem jeleniowi expresową kulę w komorę. Jeleń runął jak kłoda i począł się rozbijać, biegłem tedy, aby go dobić — gdy w tej chwili po lewej mojej ręce powstał trzask, tentent, łomot — i ogromny jeleń z potężnym wieńcem, a za nim sztuka bez rogów ukazały się moim oczom. Pędziły wprost ku debrze. Co się ze mną wtedy działo — trudno opisać. Przedemną jeleń jak wół, tylko strzelać — a tu expres wystrzelony, dwie lufy śrutem nabite, prawie tyle, co spacerowa laseczka w ręku. Jednakowoż nie straciłem przytomności; z błyskawiczną szybkością nabiłem wystrzeloną expresową lufę ostatnim ładunkiem. Jelenie skryły się tymczasem w debrze, i w chwili, gdym zamykał drylinga, ujrzałem je już na przeciwnej stronie debry, pędzące co sił

w ogromnych susach do lasu. Westchnąłem do św. Huberta i widocznie ten zacny święty kierował mą lufą i okiem, bo pomimo obłożonych dwieście kroków odległości, w chwili gdym nacisnął kurek, jeleń stanął dęba, jak koń wspinający się, popędził jednak dalej i znikł w lesie.

Stałem z wystrzelonym drylingiem jak oszołomiony, nie wiedziałem czy to sen, czy rzeczywistość, rozbijający się jednak do tego czasu pierwszy jeleń przywołał mnie wnet do przytomności. Śrutowym strzałem za ucho dobiłem ładnego widłaka i poszedłem szukać z słabą nadzieją drugiego jelenia, myśląc sobie w duchu, że to stanowczo byłoby za pięknie, gdyby i drugi, przy tylu niesprzyjających warunkach, uległ mojej kuli. Strzelałem bowiem do niego, jak do krzyka, odległość była znaczna, światło niepewne — a jednak jeleń strzał zamarkował. To mi dodawało otuchy.

Na odgłos trzech strzałów nadjechał mój automedon aż na górę. Opowiedziałem mu, jak rzeczy stoją i posłałem go po ludzi i leśnych, sam zaś poszedłem za drugim jeleniem.

Zegarek wskazywał ledwie kwadrans na piątą. Przeszedłem debrę za śladem jeleni, szukając w miejscu, gdzie jeleń zaznaczył, jakiejś wskazówki co do skutków strzału. Lecz z powodu słabego jeszcze światła nic odkryć nie mogłem. Postanowiłem tedy przeszukać najbliższą okolicę, co też uskuteczniłem, nic nie znalazłszy.

Tymczasem słońce ukazało się nareszcie — powróciłem na miejsce, gdzie drugi jeleń był strzelony, i — o radości! ujrzałem już zdaleka na trawie i krzakach szeroką i obfitą smugę farby, pokrytej gdzieniegdzie pianą. Wywnioskowałem, że przy takiej farbie jelenia stanowczo dojść muszę — i poszedłem za farbą.

Jeleń przeszedł część zrębu i wszedł w kilkumorgowy klin gęsto podszytej dragowiny, zamknięty trzema bardzo urwistymi potokami, poprzerzynanej debrami i najprzeróżniejszemi naturalnemi przeszkodami. Najdzikszy to i najtrudniejszy miot całego Nowomiejskiego rewiru. Szedłem w ślad za nim z dwoma lufami nabitemi śrutem. Kuli już nie miałem. Jeleń szedł początkowo w susach, później zwolnił, tułał się wszerz i w poprzek po klinie, nie odważając się jednak na przeprawę przez strome i głębokie potoki. Peregrynacya ta za nim po gąszczach na trudnym nadzwyczaj terenie, nie należała do najłatwiejszych. Chodziłem nieraz w życiu za postrzałkami. Myśliwi, którzy to czynili, wiedzą, jaka to rozkosz dochodzić postrzelonego grubego zwierza, iść, że tak powiem, po nitce do kłębka, rozplątywać powikłane ślady, z mało tylko znaczących wskazówek wyprowadzać właściwe wnioski — następnie z postrzelonym dzikiem, niedźwiedziem lub jeleniem stoczyć ostatnią, często niespodzianą i niebezpieczną walkę — i nareszcie nad zdobytym łupem zatrąbić pojezdnego... Te przyjemne wrażenia przebywałem niejednokrotnie. I teraz także szedłem, śledząc z bijącem sercem za rannym jeleniem, z bronią gotową do strzału, wypatrując mojej zdobyczy za każdym krzakiem, za każdym załomem deber.

W tej peregrynacyi po gąszczach przychodziła mi nieraz myśl, że nie jest wykluczonem, iż ranny jeleń, jeżeli jeszcze jest żywy, wyskoczy gdzieś z gąszczu naprzeciw swemu prześladowcy, ażeby spróbować siły swych rogów. Na tę myśl ściskałem silniej broń moją, niestety tylko śrutem nabitą (kuli już nie miałem) i szedłem ostrożnie naprzód, starając się o ile możności dojrzeć pierwej jelenia, zanim tenże mnie spostrzeże.

Tak przyszedłem nareszcie do miejsca, w którem jeleń, doszedłszy, już nie wiem po raz który, do krawędzi jednego z potoków, urwał się tam z brzegiem i stoczył ku dołowi. Świeżo oberwany brzeg i farba po obydwu stronach wyżłobionego w urwistym stoku koryta, wskazywały mi kierunek. Byłem pewny, że mego postrzałka zastanę już na dole w potoku. Zajrzałem najpierw, czy go nie zobaczę — nie widząc jednak nic, począłem ostrożnie się zsuwać ku dołowi, czepiając się gałęzi. Debra była w tem miejscu niesłychanie stroma i głęboka kilkanaście sążni. Z trudem posuwałem się ku dołowi, co chwila urywała się ziemia pod mojemi stopami, a kamienie toczyły się z trzaskiem i łomotem. W dole szumiał potok, w około gąszcz nieprzebyty — byłem jakby zgubiony w odludnem miejscu o jak najdzikszej dekoracyi. Jednakowoż nie miałem czasu zastanawiać się nad dzikim urokiem tego miejsca, gdyż nagle gałąź, której się trzymałem, uległa memu ciężarowi, i ja sam, nie dobrowolną wprawdzie, lecz tanią i szybką drogą znalazłem się w potoku po kolana w wodzie.

Szczęściem nie daleką była droga, którą w ten sposób przebyłem; oprócz nieznaczących zdarć skóry i dokumentnego zamaczania, nic gorszego nie odniosłem. Zerwałem się w tej chwili i rozglądnąłem w najbliższem otoczeniu. Jelenia nie było, a co najgorsze, że farba znikła. Nie było jej nigdzie, ani na jednym ani na drugim brzegu potoku. Wywnioskowałem, że jeleń musiał powlec się w dół lub w górę potoku, idąc samą wodą. Zacząłem pilnie szukać jakiejś wskazówki, i wreszcie ujrzałem na jednym z wystających kamieni kroplę farby, a na błocie poniżej miejsca, na które spadłem, wyraźny trop i farbę. Jeleń poszedł więc potokiem w dół. Podążyłem za nim.

Poszukiwania te trwały już z godzinę. Jeleń szedł ciągle. Od czasu do czasu doznawałem tremy na myśl: A może dojść się nie da? A może przejdzie na obce lasy? Lecz obfita ciągle farba dodawała mi otuchy. Szedłem samem dnem potoku, często po kolana w wodzie i błocie wśród ogromnych kamieni. Przedemną potok zakręcał się w lewo. Do zakrętu było najwyżej 40 kroków; dalej już nic nie widziałem. Na samem zgięciu potoku stała wpółrozwalona kupa kamieni, które ktoś kiedyś tu pozbierał i nie mogąc zapewne wywieźć, zostawił. Zbliżyłem się do tej kupy, i — o radości! ujrzałem po za nią wystarczające kończyny wieńca mego jelenia. Więcej nic nie widziałem. Jeleń był żywy, bo wieniec się poruszał — leżał widocznie w potoku, bo z poza kamieni nic więcej tylko końce rogów były widoczne.

Podszedłem z gotową bronią pod samą kupę kamieni z bijącem sercem, że śrut nie będzie wystarczający, by dobić takiego postrzałka. Pyszny obraz przedstawił się tu moim oczom. W oddaleniu może 20 kroków od kamieni potok zawalony był w poprzek jakąś starą kłodą, tworzącą rodzaj tamy, przezco w tem miejscu utworzyła się malutka, spokojna zatoka. W środku zatoki, do połowy oblany wodą, leżał mój jeleń, głową zwrócony ku mnie; z karku w pobliżu łopatki sączyła się krew obficie.

Stałem przed jeleniem najdalej na 15 kroków. Jeleń zwrócony był do mnie zupełnie na sztych, wysokie głazy zasłaniały mu cały kark tak, że jako cel do strzału mogłem mieć tylko sam łeb, zwrócony ku mnie nozdrzami. O skuteczności strzału śrutem mimo bliskości myśleć nie było można -- zresztą wstrętnem mi było strzelać śrutem tak prosto w oczy jeleniowi w przekonaniu, że strzał nie będzie śmiertelny i stanie się tylko bezpotrzebnem i bezskutecznem dręczeniem zwierza. Namyślałem się co robić. O obejściu jelenia nie było mowy; nadzwyczaj strome brzegi potoku stały na przeszkodzie. Próbując takiego manewru, narażałem się na oberwanie i wpadnięcie do wody tuż obok jelenia, co ani przyjemnem ani bezpiecznem być nie mogło.

Przemyśliwałem jeszcze, co mi uczynić wypada, gdy jeleń sam rozciął ten gordyjski węzeł. Rozpryskując na wszystkie strony wodę i błoto, zerwał się jak wściekły, przeskoczył wprost ku mnie wspomnianą kupę kamieni i nagle ujrzałem go ze schylonym wieńcem na pięć kroków przed sobą. Nie było się co namyślać. O życzliwość jelenia podejrzywać nie mogłem — strzelba prawie sama wypaliła mi w ręku — bezwiednie strzeliłem w ten rogaty łeb schylony przedemną. Zakotłowało w głębi potoku — woda, błoto, kamienie, patyki zaczęły latać koło mnie tak, że czemprędzej uciekać w górę musiałem. Jeleń leżał, rzężąc i wszystkimi czterma badylami wyrzucał na około wszystko, co pod racicami napotkał. Nie życzyłem sobie znaleźć się w bliskości jego badyli. Więc jeszcze jeden strzał za ucho, powtórzony echami wszystkich jarów — i pościg był skończony. Przedemną leżał bez życia duży jeleń dwunastak z pięknie wykształconym wieńcem.

Jestto trzeci jeleń z rzędu, którego w ciągu lat kilku w tym samym rewirze ubiłem. A teraz historya i przyczyny pojawienia się jeleni w tutejszej okolicy.

Przed kilkunastu laty założył ś. p. książę Adam Lubomirski w Miżyńcu zwierzyniec o kilkuset morgach, w którym chował kilkadziesiąt sztuk jeleni. Przed laty 6-ciu lub 7-miu, wskutek uszkodzenia parkanów, umknęło kilka sztuk jeleni, i te, znalazłszy odpowiednie warunki bytu na wolności w rozległych lasach okolicznych, tworzących kilkutysięczny szmat kniej bez przerwy — zdziczały zupełnie, a nawet rozmnożyły się na wolności dosyć znacznie. Naturalnie, że nowy ten zwierzostan, o ile pożądany dla myśliwych, o tyle niemiłym był rolnikom i leśnikom ze względu na szkody, jakie w kulturach leśnych i polnych wyrządzał. To też po pierwszych latach szanowania poczęto je wszędzie strzelać, gdzie się pojawiły.

W ostatnich latach padło w naszej okolicy kilkanaście sztuk jeleni wolno chodzących. Sam przed czterma laty zabiłem w lasach Nowomiejskich jelenia dziesiątaka — prócz tego w Czyszkach, Rakochońcach i Krukienicach padało co roku prawie po kilka jeleni Obecnie stan ich zredukował się znacznie, lecz rozległość lasów i ostrożność jeleni sprawiają, że zapewne dłuższy czas jeszcze ten zwierz wspaniały będzie ozdobą rewirów naszej okolicy. Niestety, względy ekonomiczne nie pozwolą, ażeby się na naszych parcelkach utrzymał i mnożył stale, i nadejść musi dzień, w którym wolny jeleń w tutejszych kniejach należeć będzie już tylko do wspomnień, pozostawiając jako pamiątkę krótkiej swej bytności kilka rosochatych wieńców, zdobiących zbiory tutejszych Nimrodów.

Aleksander Przedrzymirski.

Kołowania, 3. sierpnia 1895 (Spóźnione).

(Z sarnich zalotów.)

Po afrykańsku przypiekało słońce w ostatnich dniach lipca. Wreszcie minęła i Hanka, a nie było chłodnego wieczoru i ranka. W pocie czoła żął naród łan lichego żyta za lasem. Ścieżką, a raczej granicą pomiędzy lasem i łanem wyki szedłem rankiem do robotników. Chlustała pod nogami obfita rosa, a całe strugi wodnych brylantów sypały się za najlżejszem dotknięciem ze zwieszających się gałęzi po stronie zachodniej.

Za młodych lat nawoływano zewsząd: „Nie łaź po rosie, bo dostaniesz kataru“ — dziś po kilku dziesiątkach lat obrałem tę drogę jako profilaksę wszelkiego gatunku nieżytów, a słynny mistrz z Wörishofen podskakiwałby aż z radości na mój widok.

Las, popod który mnie droga prowadziła, ledwie na tę nazwę zasługiwał; ot, był to kawałek jakiejś dawnej puszczy podgórskiej, gaik 15-morgowy, poprzerzynany debrami, a środkiem ciągnął się parów i szemrała maleńka strużka wody. Na przekor wszelkim staraniom ze strony ludzi, aby tu lasu nie było, siew boży zwyciężył i piękny las wreszcie wyrósł wśród wrogich wpływów otoczenia i ściskającego go coraz bardziej pierścienia Cerery, która posunęła się z pługiem aż do krawędzi deber i zboczy.

W lesie było cicho. Na suchym wierzchołku bardzo starego dębu dziupławego siedział orzełek krzykliwy nieruchomie z otworzonym dzióbem i spoglądał w górę. Tam jego towarzysz pławił się w błękicie i świerkającym odzywał się głosem. Przeszedłem pod drzewem, na którem siedział, ale to wcale nie zwróciło jego uwagi. Ja również nie długo mu się przypatrywałem, bo niedaleko w lasku, gdzieś w parowie, odezwał się kozioł. Czyżby to były fanfary miłośnego gonu? Najniezawodniej. Beczenie się powtarza w rozmaitych oddaleniach. Coś nazbyt rano rozpoczyna rogal swe gody? Słońce co najwięcej na pół do 8mej wskazuje, chce zapewne korzystać z rannej energii i fantazyi, bo ku południowi może je spopielić trzydzieścikilka stopni Celsiusza. Słysząc tak głośne zaprosiny i mając Adonisa niby w klatce, postanowiłem wnet spróbować szczęścia z mikotem. Urwawszy tedy gałąź bukową z liśćmi, zawróciłem do chałupy.

Liść bukowy był mi oddawna znanym materyałem na improwizowanie mikotu, ale konstrukcya nie zawsze mi się udawała. I teraz namęczyłem się sporo rozmaitemi próbami i dodatkami, aż wreszcie udało mi się wydobyć jakiś dźwięk podobny do piszczenia siuty. Niezliczone razy próbując się w konstrukcyach podobnych, nie mógłbym podać akustycznego prawidła, według którego przyrząd ten pojedyńczy ma być zbudowany; jakieś przypadkowe, szczęśliwe ułożenie wydobywa wreszcie ton, z którego się jest zadowolonym. Prześliczna to nagroda mozolnej dłubaniny. Nareszcie po nowych zmianach zabrzmiał z mego dorywczego instrumentu głosik tak miły, tak wabiący, tak namiętnie pożądliwy — że gdybym nie był wykonawcą tych dźwięków, możebym i sam poszedł za tym syrenim głosem duszy samiczej.

Byłem już moralnym zwycięzcą.

Słońce dochodziło zenitu, gdy ze świeżymi ładunkami w lufkach sztućca posuwałem się parowem leśnym ponad wspomnianą strużką. Wzdłuż parowu był widok dość otwarty, po obu zaś stronach aż do brzegów wąskiego parowu kryła wszystko gęstwa jodeł, buków, olch i brzóz. Nibyto cisza panowała w lesie, ani listek nie drgnął na drzewie — czem wyżej, tem goręcej — natomiast u spodu wśród tej względnej ciszy brzmiała wszędzie harmonia słodkiej troski rodzinnej. Małe jeszcze, dość nieudolne ptaszęta rozmaitych gatunków ćwirkały przed okiem szczęśliwych rodziców, przeskakując w cienistych gałązkach pokrycia. W miejscu, gdzie się strużka nieco rozlała, tworząc zbiornik niewielki, stanąłem pod grupą olch. Był to mniej więcej środek geometryczny lasku. Oparłem mój sztuciec o drzewo i z pewną tremą, jak koncertant występujący po raz pierwszy przed publicznością, dzierżąc oburącz prymitywny a grymaśny mój instrument, odezwałem się nieśmiałem zadęciem. Poszło nieźle, trochę słabo, ale nie fałszywie. Animusz wstąpił w serce — powtórzyłem mą sztukę po trzy razy, a głosy były coraz czystsze, coraz doskonalsze. Minęła chwila oczekiwania. Oprócz ćwirkania ptaszków nic więcej słychać nie było. Wreszcie zdawało mi się, że słyszę jakiś szelest zbliżającego się zwierza. Trzymałem już sztu-

ciec w pogotowiu, nieruchomy jak statua, cały zmieniony we wzrok i słuch. Tylko strumienie potu zlewały się po twarzy i maciły jasność wzroku. Kozioł się nie zjawiał. Kilka młodych drozdów i kosów parpało coś w niedalekiej gęstwinie i sprawiało szelest utrzymujący mnie długo w najwyższem natężeniu; późno już dostrzegłem prawdziwą przyczynę szelestu. Kto przechodził takie chwile, ten uwierzy, że długo czegoś podobnego spokojnie wytrzymać nie można. To też odłożyłem znów broń i odpocząłem nieco, siedząc pod drzewem.

Ale wnet cała menażerya skrzydlata zaroiła się koło mnie; bąki padały na spocone ciało tnąc niemiłosiernie; w przyzwoitej oddali brzęczał ogromny szerszeń; trzeba się było dalej brać do roboty, albo wynosić się z lasu ratując skórę. Obrałem pierwsze i teraz już bardzo donośne odezwały się mikotania. Po chwili, gdzieś w wielkiem oddaleniu, rozległo się beczenie kozła. To nie mój ranny rogal — to jakiś inny w drugiej, wielkiej parceli leśnej posłyszał moje mikotania; teraz nastawia ciekawie łyżki i chwyta z upodobaniem posyłane głosy, które w interpretacyi z sarniego języka mniej więcej brzmieć muszą: „Przybywaj jak najrychlej kochanku!“

Powtórzywszy jeszcze raz urocze zaprosiny, stanąłem znów w pogotowiu za drzewem. Kozioł się już więcej nie odzywał, tylko kilka młodych srok przelatując z drzewa na drzewo, skrzeczały przeraźliwie, a równocześnie z grupy bzu koralowego na niedalekim pagórku wynurzyła się ruda główka sarny. Patrzała uparcie wprost ku mnie. Stałem znów jak posąg, nie ruszywszy oczyma. Wreszcie sarna opuściła główkę, posunęła mordeczkę po przedniej cewce, widocznie spędzała owady, rozglądała się w okół i krokiem wolnym spuściła się w parów, oglądając się kilka razy poza siebie, to znów śledząc całe otoczenie, jakby za czemś szukała. Czy wyglądała mikocącej sarneczki, chcąc ją powierzyć niewygasłym zapałom swego galanta, który, dobry do czasu, teraz może stał się już zbytecznym?

A galant? Ten był niedaleko. Cicho jak lis się skradając za śladem siuty, wychylił głowę z kłąbu bzów, pokazał piękne parostki i zanim mogłem go wziąć na muszkę, cofnął się w gąszcz i przepadł... Gdy spojrzałem w stronę siuty, już jej nie było; wskoczyła na przeciwną zbocz i tylko mignęła w gęstwinie.

I tak *finita le comedia!* Skończyły się niekrwawe, niewinne łowy, wyszliśmy wszyscy zdrowo i cało i być może, że za rok zejdziemy się znów wszyscy na tem samem miejscu i choćby z tym samym skutkiem — może znów zamiast parostków, czerwonej sukienki i kilkunastu kilogramów mięsa, nasyci mnie tylko wyraz prawdziwego szczęścia z pięknych ócz Don Juana lipcowego.

Władysław Spausta.

S k a ł a, dnia 1. września 1895.

(Brak przepiórek — rzadki ptak.)

Człowiek im więcej otrzymuje, tem więcej pragnie i ostatecznie poprzestaje na małem dopiero wtedy, kiedy już niczego więcej spodziewać się nie może.

Pamiętam dobrze te czasy, kiedy to wychodziło się na przepiórki z lichą dubeltówką kabzlową, a ubijało się i przynosiło do domu tyle przepiórek, że prawie nigdy nie liczyło się ich na sztuki, tylko mierzyło rzeszotem. Skoro rzeszoto nie było z czubem, to mówiło się zwykle z pewnym rodzajem niezadowolenia: „Widocznie miały przepiórki zły lęg, bo rzadko się pokazują“.

A dzisiaj co? Dziś, jak dobrze pójdzie, można podczas siedmiogodzinnego, nieustannego polowania zobaczyć dziesięć do dwanaście sztuk, a z tych ubić najwyżej sześć.

Czyż to nie ironia wobec rzeszota? Ach, niestety! Stan przepiórek — przynajmniej w tutejszej okolicy — jest tak lichy, że nie pamiętam jeszcze lata w przepiórki tak ubogiego.

Ale cóż tam przepiórki! Przyznam się otwarcie, że lubo przeklinam afrykańskich handlarzy przepiórek i życzę im z duszy i serca, aby wszystkie ich sieci do szczętu się spaliły, gotów jestem oddać dwieście przepiórek za każdego takiego ptaka, jakiego przed kilku dniami pierwszy raz w życiu w polu zobaczyć i ubić mi się zdarzyło.

Było to w dniu 27. sierpnia. Wyjechałem z wytrawnym kolegą w zawodzie myśliwskim i przyjacielem z lat dziecinnych Antonim Gotwaldem w pole, aby spróbować, czy uda się ubić choć tyle przepiórek, aby niemi, jeśli nie rzeszoto, to przynajmniej króbkę napełnić. Ale gdzie tam! Nietylko, że ich mało z Afryki przybyło, lecz spóźniły się z przelotem i rozpoczęły lęg znacznie później niż zwykle, o czem świadczą co dopiero z jaj wykłute pisklęta i znajdywane w czasie żniwa gniazda z jajami. Polując już parę godzin, przebuszowałem z wyżłem kilkanaście zagonów kukurudzy i widziałem zaledwie sześć do ośm przepiórek, z których ubiłem cztery. Straciłem więc ochotę do dalszego polowania i skierowałem kroki ku Gotwaldowi, aby go do powrotu nakłonić.

Przechodząc w drodze przez zagon kukurudzy, spostrzegłem, że wyżeł w jednem miejscu tuż przy brzegu zagona ostro zamarkował, a po chwili postąpił jeszcze kilka kroków, stanął już na pewno i nastawił sygnał. Zbliżyłem się tedy do psa i stanąwszy z boku badałem miejsce, które on oczami i pompą wskazywał. Kukurudza była tu dość rzadka i grunt prawie nagi, gdyż tylko mała kupka fasoli rozpościerała się w tem miejscu, do którego wyżeł twardo się zaciął. Byłem pewny, że pod fasolą siedzi przepiórka, więc rozkazałem psu, aby ruszył naprzód.

Gdy pies przyskoczył i pompą łodyżki fasoli rozorał, usłyszałem jakiś, niedający się określić głos, niby: cho-cho-cho! i w tym momencie zaciemniało mi przed oczyma na wysokości półtora metra nad wyżłem. Był to wzlatujący ptak wielkości dużej kury, po wierzchu skrzydeł i na grzbiecie pstro-centkowany, a pod spodem biały. Widok ten niezwykły i głos całkiem obcy zelektryzowały mnie, bez namysłu zmierzyłem się i nie czekając na dokładne rozpoznanie — strzeliłem. Następnie, uchyliwszy głowę na bok przed dymem, spostrzegłem uradowany, że ptak spadł jak kamień na ziemię. Oglądnąwszy go bliżej, nie wiedziałem w pierwszej chwili, co to za ptak. Dlatego pospieszyłem prawie kłusem do Gotwalda i pokazując mu moje trofeum prosiłem o wyjaśnienie. Lecz i on, choć łowiec nie dzisiejszy, ptaka takiego jeszcze nigdy nie strzelał. Wówczas przypomniałem sobie artykuł z „Łowca“ „Na rojstach litewskich“, w którym szanowny autor o pardwach wspomina i patrząc na ptaka zawołałem: „pardwa!“ W istocie był to ptak, którego lud w niektórych stronach „pardwą“ nazywa, choć wcale nie pardwa litewska *(Tetrao lagopus* lub *saliceti)*, którą kolega litewski opisał, bo ta w naszych stronach nigdy się nie pojawia. Po bliższem rozpoznaniu skonstatowaliśmy z Gotwaldem na pewno, że to był d r o p s t r e p e t *(Zwergtrappe, Otis tetrax)*, który się na Podolu czasem pojawia, lecz w ogóle rzadkim jest gościem. Dziś jest już ten gość wypchany i przyłączony do mych łowieckich trofeów.

Seweryn Kisielewski.

KRONIKA.

Straszny cios dotknął arcyksięcia Józefa, naczelnego wodza honwedów węgierskich. Drugi z rzędu syn jego, arcyksiążę Władysław, pełen życia młodzieniec 19-letni, zginął wskutek rany, którą zadał sobie przypadkowo w czasie polowania.

Stało się to na Węgrzech, w kniei Agyag, w okolicy Aradu. Dnia 2. b. m. odbywało się polowanie na dziki. Młodemu arcyksięciu towarzyszyli dyrektor dóbr Liebitz, kilku dworskich urzędników i gości. W toku polowania dano znać arcyksięciu, że się pojawił żbik w miocie. Dość było tej wiadomości dla chciwego wrażeń, zapalonego myśliwca. Udał się za żbikiem i strzelił, tak atoli, że zwierz nie padł na miejscu, lecz powlókł się jeszcze w gęstwinę. Arcyksiążę, mimo trudności terenu, pobiegł bez namysłu za postrzałkiem, trzymając w ręku za lufy strzelbę, w której tkwiła jeszcze druga kula. Naraz potyka się na pniaku i upada — strzelba uderza, wypala — i strzał gruchocze mu prawe udo ponad kolanem. Arcyksiąże omdlał z bolu, a postępujący za nim strzelec oniemiał z przerażenia. Po chwili dopiero, oprzytomniawszy, począł wołać o pomoc. Zbiegli się uczestnicy polowania. Pierwszy zbliżył się do omdlałego dyrektor Liebitz i spostrzegł, że kurtka myśliwska tli się na arcyksięciu. Wskutek strzału wypalił jeszcze drugi patron, znajdujący się w kieszeni i zapalił kurtkę. Po ugaszeniu ognia, rozebraniu omdlałego i pierwszem zabandażowaniu nogi, posłano po lekarzy. Po przybyciu ich odzyskał dopiero arsyksiąże przytomność. Wywiezienie go z miejsca było tak trudne, że trzeba było wpierw część lasu przetrzebić, aby wóz mógł zajechać.

Zdawało się zrazu, że rana, chociaż bardzo ciężka, nie zagraża życiu. Niestety, inaczej się stało. Już po czterech dniach wywiązało się zakażenie krwi, i po ciężkich cierpieniach, d. 6. września, zgasł młodociany arcyksiążę w Budapeszcie, gdzie go dla leczenia przywieziono.

Zmarły arcyksiążę, aczkolwiek tak młody, miał już wiele wprawy i doświadczenia w sprawach łowieckich Przeszłego roku donosiliśmy właśnie, iż polując w Tatrach węgierskich ubił cztery kozice dwoma dubletkami. Łączył w sobie właściwe książętom domu habsburskiego zamiłowanie do przyrody i do łowów. Temperament zbyt gorący w pościgu za rzadkim zwierzem sprowadził katastrofę i przeciął nić młodzieńczego, pełnego nadziei żywota...

Arcyksiążę Leopold Salwator, który z dłuższego pobytu we Lwowie tak miłą w kraju pozostawił pamięć, przybył właśnie do Galicyi, aby wziąć udział w łowach, które dla niego urządzono w górskich kniejach Skolego. Tej wiosny polował arcyksiąże na niedźwiedzie w Bośnii pod Mostarem. Natrafiono wówczas tylko na jednego mysia, który niestety nie wyszedł na arcyksięcia, lecz padł o trzy stanowiska dalej, od kuli jenerała Hofmeistra.

Niedźwiedzie mają dość licznie pojawiać się pod Czarnohorą, jak o tem donoszą z Żabiego, i wyrządzają szkody między dobytkiem włościańskim. Jeden z mysiów miał nawet w obecności huculów napaść na wołu, pasącego się na połoninie. Przy obławie urzędowej w Krzyworówni padło podobno cztery niedźwiedzie, inne trzy ubili chłopi na zasiadce. Oczekujemy bliższych szczegółów o tym niedźwiedzim pogromie.

Spotkanie z niedźwiedziami w Tatrach. W „Czasie“ pojawiła się z Zakopanego następująca notatka. „W dniu 21 sierpnia br. około g. 12. w południe odpoczywali dwaj turyści E. K. i K. C. w towarzystwie przewodników Jana Stopki i Wojciecha Brzegi i tragarza Franciszka Lassaka obok domku myśliwskiego ks. Hohenlohego, w dolinie Białej Wody, pod Młynarzem, na drodze z Roztoki na Polski Grzebień. Niespodziewanie okazały się obok domku cztery niedźwiedzie, biegnące z lasu od strony wschodniej. Spostrzegłszy ludzi i ognisko, ulękły się i cofnęły nieco na bok, jednak zwabione rzucaniem cukru, powróciły ku schronisku i zupełnie łaskawie spędziły wraz z turystami przeszło godzinę, częstowane kawałkami chleba przewracając i tarzając się po ziemi, zgarniając borówki, kąpiąc się w strumyku itp. Jeden z niedźwiedzi nawet chwycił za szklankę herbaty gorącej, którą upuściwszy wylizał herbatę ze ziemi. Nareszcie sprzykrzyło się turystom, chcącym dalej iść, to nieproszone towarzystwo i odpędzili gości machaniem kijami. Po oddaleniu się turystów jednak powróciły niedźwiedzie ku schronisku i tamże czas jakiś harcowały. Idący później nieco w tym samym kierunku turysta obcy, po niemiecku mówiący, widział niedźwiedzie, nie zatrzymując się jednak wcale przy schronisku, spiesznym krokiem podążył w dalszą drogę. Wydarzenie to jest w zupełności stwierdzone zeznaniem pp. E. K. i K. C., tudzież podanych przewodników, nadto stróża schroniska ks. Hohenlohego. W każdym razie interesujący obrazek z życia zwierząt“.

Wiadomość w ten sposób podana, mająca wszelkie cechy prawdziwości, zainteresowała w najwyższym stopniu przyrodników i myśliwych. Myś tatrzański, jedzący cukier i pijący herbatę, a wyprawiający przytem krotochwilne baraszki w obliczu turystów — to nie bagatelka! Czyżby cywilizacya i między mysie tatrzańskie miała wtargnąć? Ten i ów zachodził w głowę, już nawet zaczęto projektować wyprawę myśliwską do Tatr... z cukrem i herbatą zamiast z dryllingami — gdy wtem po kilku dniach pojawił się pouczający dopisek do powyższej korespondencyi. Oto opisane niedźwiedzie wyrwały się ze zwierzyńca ks. Hohenlohego w Jaworzynie spiskiej, gdzie je od maleńkiego wychowano i obłaskawiono.

Tygrys nad Berezyną. Z pod Bobrujska piszą d. 5 bm.: Trzy miesiące temu zbiegł tygrys z menażeryi w Mińsku i pomimo poszukiwań nigdzie go na razie nie spostrzeżono, aż nareszcie w zakątku między Berezyną a Dnieprem zaczął srogo gospodarzyć. Z początku chłopi opowiadali, że jakiś nieznany wielki zwierz, kształtu kota w pręgi, wąsaty, okrąża stada i na ludzi napada nawet w biały dzień, tak, iż dotąd w tym zakątku poszarpał i pożarł dziesięcioro ludzi. Nie chciano wierzyć, żeby to był inny zwierz jak wilk, który mięsa ludzkiego skosztował i upodobał je sobie. Urzędnicy z Parycz zrobili nareszcie obławę. Zebrano około 200 ludzi; rzeczywiście tygrys się pokazał, lecz strzelcy stchórzyli, jeden tylko urzędnik strzelił, chybił, a tygrys przeskoczył przez chłopa z kijem stojącego, obalił go i uciekł w zarośla.

Cena zwierzyny na targach wiedeńskich podniosła się. Tyczy się to szczególniej sarniny; za kilogram tejże płacą od 80 centów do 1 zł., podczas gdy mięso jeleni kosztuje 45 do 50 centów za kilogram. Za młodą kuropatwę płacą 70 do 80 centów, za starą 40 do 45 cent. Kilogram mięsa kozicy kosztuje tylko 35 do 45 centów.

Jakie jest spożycie zwierzyny w Wiedniu dają wyobrażenie następujące daty. W roku 1893 wprowadzono do Wiednia przez linię akcyzową: 441.843 zajęcy, 44.216 bażantów, 11.425 jarząbków, bekasów i dzikich gęsi, 114.833 kuropatw i 1,530.556 kilogr. ryb.

Wywóz zwierzyny z Austryi wzmaga się. W pierwszem półroczu r. b. wynosił wywóz zwierzyny i drobiu 7.466 cetn. metr. wartości około 701.804 zł., podczas gdy w czasie od 1. stycznia do końca czerwca r. 1894 wywóz ten wynosił jedynie 4.334 cetn. metr. wartości 407.396 zł., wzmógł się zatem o przeszło 3.000 cetn. metr. wartości około 300.000 zł. w. a.

Tępienie psów morskich w zatoce Behringa postępuje z nadzwyczajną szybkością. Wedle przepisów miejscowych wolno na nie polować poza obrębem 60 mil angielskich od brzegu. Otóż pisma amerykańskie donoszą, że są okręty polujące na psy morskie z taką zażartością, że nie trzeba nadbrzeżnej ochrony tych łatwych do połowu zwierząt, gdyż wkrótce całkiem ich tam nie będzie.

Jastrząb i wydra. W marcu b. r. obserwowano w miejscowości niemieckiej Frischefen ciekawe bardzo widowisko walki wielkiego jastrzębia z wydrą. Dwie głodne wydry wyszły na lód, czekając widać na jakąś zdobycz; w tym czasie z poza pobliskiego lasu pokazał się dość silny i duży jastrząb, a spostrzegłszy wydry, spuścił się w pobliżu na lód. Zwierzęta, nie posądzając snać przybysza o wrogie

zamiary, w dalszym ciągu odbywały najspokojniej swoje peregrynacye po lodzie. Nagle jastrząb wzbił się wysoko w górę, spadł potem lotem błyskawicy i zatopił szpony w szyję jednej z wydr; druga ukryła się natychmiast w przerębli. Między napastnikiem i wydrą rozpoczęła się teraz zażarta walka, która trwała blisko dziesięć minut i skończyła się śmiercią drapieżnego ptaka. Zręcznym zwrotem głowy udało się wydrze schwytać i przegryźć gardło nieprzyjaciela, jastrząb padł martwy na lód, a wydra zawlokła się powoli do przerębli i wskoczyła w wodę, zostawiając za sobą ślady krwi. Gdy ludzie. przyglądający się z brzegu tej scenie, przybyli na pole walki, znaleźli jastrzębia z odgryzioną prawie głową.

„La Lupa", wilczyca chowana w Kapitolu rzymskim na pamiątkę znanej legendy o założeniu Rzymu, została niedawno matką aż ośmiorga wilcząt. Dzienniki rzymskie powiadają, iż z wypadku tego niezadowolony jest tylko małżonek wilczycy, stare wilczysko, które dotąd pokornie siedziało pod pantoflem młodej i dorodnej małżonki, a obecnie pomrukuje i niechętnie spogląda na ów przybytek.

Barbarzyńcy. W Paryżu zjawili się na ulicach handlarze ptaków oswojonych: noszą oni ptaszka na ręce i ptak siedzi spokojnie, nie objawia nawet chęci fruwania. W gruncie rzeczy nie jest on oswojony, lecz tylko ślepy. Barbarzyńscy handlarze ptaków oślepiają ptaka, a nie chcąc psuć mu oka w sposób widoczny, używają do tego rozpalonego żelaza, które zbliska przesuwają przed oczami. Niegdyś w Byzancyum w ten sposób oślepiano zwyciężonych pretendentów do tronu cesarskiego. Rośnie oburzenie na barbarzyńców, krzywdzących w ten sposób ptaki; Towarzystwo opieki nad zwierzętami wzywa policyę do energicznej interwencyi.

Grające gołębie. Kto znajdzie się po raz pierwszy w Pekinie, ten zdziwiony zostanie mile brzmiącą melodyą, która gdzieś w górze daje się słyszeć, to się oddala i milknie, to znowu głośniejszą się staje. Gdy szukając przyczyny tej melodyi, podniesie wzrok do góry, przekona się wkrótce, że to gołębie ten głos wydają, bo jak długo widać gołębia lecącego, tak długo brzmi ta dziwna muzyka, gdy gołąb usiądzie, tony milkną. Rzeczywiście są to gołębie, które ten głos wydają. Instrument służący do tego nazywa się po chińsku chao-tse to zn. świszczący mechanizm. Jest to kilka metalowych piszczałek w różny sposób ze sobą połączonych, które umieszczają Chińczycy na ogonie gołębia, przymocowując cały przyrząd tak do sterówek, by otwory były zwrócone naprzód i tym sposobem wystawione na prąd powietrza, gdy gołąb leci. Oczywiście wszystko to jest bardzo lekkie, waży zaledwie 8—10 gramów, by nie przeszkadzało gołębiowi w locie.

Jakiż cel mają Chińczycy, urządzając sobie taką muzykę napowietrzną? Otóż w pierwszym rzędzie cel praktyczny. Pekin jest jednem z najbardziej nieczystych miast na świecie, ścierwa padłych zwierząt, niezakopane zanieczyszczają powietrze i ściągają mnóstwo ścierwożernych drapieżców, które pełnią tu policyę sanitarną; za niemi znęca się do miasta wiele sokołów, a dla tych są liczne pekińskie gołębie miłą zdobyczą. Otóż chao-tse, wydając głos, ma odstraszać sokołów od porywania gołębi.

Strzelanie w lot. Angielskie pisma sportowe prowadzą już od kilku lat spór o to, czy strzelając w lot należy oboje oczu mieć otwarte, czy też zamykać jedno, jak się to zwykle przy celowaniu robi. Tygodnik „Rod and Gun" zamieszcza w tej sprawie taką instrukcyę dla młodzieńca, który się chce nauczyć strzelać.

Kiedy młodzian nauczył się już obchodzić z bronią i poczyna się składać do strzału, trzeba go zaprowadzić do ciemnego pokoju i ustawiwszy tam w rogu wieszadło na ubrania, zawiesić na nim ćwiartkę ciemnego papieru. Wtedy daje się chłopcu do rąk przykładną dłań broń kapiszonową z nałożonemi na kominki kapiszonami i stawia się go w takiej odległości, aby złożywszy się, nie zakrywał papieru lufami. Zamyka się drzwi, aby w pokoju było zupełnie ciemno i zapala się kawałek świeczki osadzonej na kijku. Wychyla się powoli świeczkę z po za urządzonej owej zasłony z papieru i każe się uczniowi swemu próbować zdmuchnąć świecę strzałem z kapiszona. Jeżeli w czasie sekundy kurek nie spadnie, należy szybko świeczkę schować, aby nie pozwalać długo celować. Kiedy chłopiec zacznie gasić świecę bez pudła, należy zacząć poruszać świecą we wszystkich kierunkach, zwiększając szybkość poruszeń w miarę postępów strzelca. Jeżeli i wtedy świeca będzie gaszona napewno, należy wziąć drugą w tenże sposób osadzoną i dwiema rękami jednocześnie poruszać świeczkami we wszystkich kierunkach, zmuszając ucznia do gaszenia świec dubletem. Cały zaś sekret i odrębność takiej nauki polega na tem, że przy wszystkich tych ćwiczeniach uczeń wcale nie widzi broni lub też zaledwie ją widzi. Chłopcom nader się podoba taka zabawa; kiedy zaś uczeń dojdzie do robienia szybkiego dubletu do świec, należy go brać od czasu do czasu w pole i pozwalać strzelać do drobnych ptaszków w locie, pod żadnym pozorem nie pozwalając strzelać do nieruchomego celu. Należy zwracać uwagę na dokładne składanie się: lufy spoczywać mają na dłoni ręki lewej prosto przed siebie wyciągniętej — tylna zaś część przykładu (osady) przyłożona ma być do ramienia tak, aby patrząc na strzelca z tyłu, zupełnie nie była widzialną. Kiedy chłopiec się złoży, należy szybko liczyć raz, dwa, trzy i t. d Jeżeli wystrzał przypada między jeden i dwa lub na dwa, to dobrze; przy strzale zbyt wolnym, nieudanym, można zdążyć naliczyć do sześciu, ośmiu i więcej. Na wszystkich lekcyach należy bezustannie zalecać uczniowi, aby strzelając, szeroko oboje oczu otwierał. Zdumiewającem jest, w jak krótkim czasie wyrobić się można na doskonałego strzelca, przy tak małym stosunkowo nakładzie pracy i kosztu. Widocznem jest, że celem takich ćwiczeń jest nauczyć strzelca patrzeć przy wystrzale w cel obojgiem oczu, nie spuszczając ich z niego. Podług mnie, nie ma lepszego sposobu nauczenia się w krótkim czasie strzelania w lot, i w tem główna zaleta strzelania z otwartemi oczyma.

Przy tej okazyi należy wspomnieć o tak zwanem podwójnem widzeniu. Jeżeli strzelec będzie dokładnie patrzył na ptaka, nie spuszczając z niego oka, i będzie trzymał głowę prosto, nie opuszczając jej do przykładu broni, niemożliwem będzie, aby podwójnie widział lufy, a jeżeli strzela dostatecznie szybko, aby korzystać z nieomylnego pierwszego rzutu oka — to napewno nie chybi. Z drugiej strony, jeżeli podwójnie widzi lufy, to nie może w tejże chwili dokładnie widzieć ptaka, a wtedy pudło jest niewątpliwe. Dlatego należy, aby strzelający raz na zawsze wybili sobie z głowy przesąd o podwójnem widzeniu: sam zaś nie myślę bynajmniej spierać się z strzelcami, którzy wolą zamykać jedno oko i patrzeć w dół po lufach — jestem gorącym zwolennikiem strzelania z otwartemi oczyma i z zupełnie podniesioną głową. Czyż zakrywają jedno oko grający w krokieta, w lawn-tennisa lub w bilard, gdzie z jednego końca bilardu w drugi posyła się bilę z dokładnością setnej części cala? Dlaczegoż myśliwy pozbywać się ma dobrowolnie cudownego daru wzroku, redukując go do połowy? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że świetne strzelanie w lot możliwem jest tylko wtedy, gdy broń naprowadzona jest na cel nie długiem mierzeniem i wycelowywaniem, ale pełnym czucia muskularnym ruchem, idącym w ślad za instynktownem nawyknieniem. O ile mi wiadomo, wielu myśliwych robi następującą omyłkę: chcąc przyswoić sobie wyżej opisaną metodę strzelania, otwierają oba oczy — ale składają się po staremu, przyciskając twarz do przykładu i patrząc w dół po lufach — przyczem z konieczności lufy w oczach im się dwoją.

Odważne sarny. Na jednym z folwarków koło Wiener Neustadt pracował w polu wieśniak wraz z 11-letnim swym synem. Wtem ujrzał chłopak dwa „kice", wychodzące z sąsiedniego zboża. Cóż naturalniejszego jak zamiar chłopczyny, aby ku nim pobiedz i starać się je schwytać. Kice, zamiast uciekać przed napastnikiem, dotrzymały mu miejsca i w chwili gdy się do nich zbliżył, wzięły go w środek i poczęły tuckać, jeden w piersi, drugi z przeciwnej strony w tę wydatną część ciała, na której się siedzi. Chłopak począł wrzeszczeć w niebogłosy i dopiero gdy nadbiegł ojciec, usunęły się sarneczki przed przemocą do sąsiedniego zboża. Chłopiec mało nie zemdlał z przestrachu i bolu i zdaje się nie wnet znowu odważy się gonić za sarnami.

Ilość towarzystw myśliwskich w Rosyi wzmaga się bezustannie. Pomiędzy r. 1862 a 1895 powstało w ogóle 80 towarzystw i spółek myśliwskich, a mianowicie 74 w europejskich krajach carstwa, a 6 na Sybirze. Oprócz tego założono 14 filii Towarzystwa racyonalnego polowania, mającego swą główną siedzibę w Petersburgu. Jedną z tych filii jest Towarz. racyonalnego polowania w Warszawie.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

TREŚĆ:

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.